Nr. 35. Pozn... 1905. Rok IX.

PRACA

Telefon 1465.

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 20 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu a mianowicie:

przy dwu—trzechrazow. ogłoszeniu 20%
„ czteroraz. (miesięczn.) „ 25%
„ kwartalnem 13 × „ 33⅓%
„ półrocznem 26 × „ 50%
„ rocznem 52 × „ 66⅔%

Papieros
z fabryki
SULIMA
są
najlepsze.
Produkcya roczna: 200 milionów.

Jedyna jeneralna agentura
i główny skład 532
S. Zychliński w Poznaniu.
Cygara w największym wyborze.

Antoni Rose
Poznań — Bazar
Telefon 381.

Karty wizytowe, uwiadomienia i zaproszenia ślubne.

Skład materyałów piśmiennych, galanteryjnych i skórzannych.

Zakład litograficzny i drukarnia. Rejestra gospodarcze, fabryka książek kontowych i tytek.

Plakaty, etykiety, dyplomy.

Tapety
począwszy od 12 fen. za rolon.

Linoleum. 38
Wszelkie próby na żądanie franko.

Oszczędności i wkłady
przyjmujemy i płacimy: 183
przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,
„ „ półrocznem 5½ „
„ „ całorocznem 6 „
od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. **Pewność zupełna.**
Kujawski Bank Parcelacyjny,
E. G. m. b. H.
w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Tanie czeskie pierze na pościel.



10 funtów: nowego dobrze dartego 8 mrk., lepszego 10 mk., białego jak kwap miękiego, dartego 15—2 mrk., śnieżnobiałego jak kwap miękiego, dartego 25—30 mrk. —
Wysyłka franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwróceniem porta, dozwolona. 407
Benedickt Sachsel, Lobes 365.
Post Pilsen, Böhmen.



R. Buczkowski
Poznań, Rycerska ul. 11.
Operacye zębów bez bólu za pomocą gazu
plomby, zęby sztuczne podług najnowszych systemów. 241

---

y palone
nowszej konstrukcyi polecam w wielkim
yborze i wykwintnym towarze. 412

Ceny najpokupniejszych gatunków.

a) płaskich:

Nr.	10	Santos II (glazurowana) . .	funt 0,80	Mrk.
„	20	„ I	„ 0,80	„
„	30	Campinas	„ 1,00	„
„	0	Liberya czysta	„ 1,20	„
„	40	Holenderska mieszanka . .	„ 1,20	„
„	50	Wiedeńska mieszanka . . .	„ 1,40	„
„	60	Karlsbadzka mieszanka á la Café Pupp w Karlsbadzie .	„ 1,60	„
„	70	Menado-Ceylon mieszanka .	„ 1,80	„
„	80	Non plus ultra	„ 2,00	„
„	90	Mokka-Menado-Ceylon miesz. (tylko na żądanie palę) .	„ 2,40	„

b) perłowych:

Nr.	110	Santos II (glazurowana) . .	funt 1,00	Mrk.
„	120	„ I	„ 1,00	„
„	130	Mexiko	„ 1,10	„
„	140	Guatemala	„ 1,20	„
„	160	Ceylon, wyborowa (tylko na żądanie palę)	„ 1,80	„

J. N. Leitgeber, Poznań.
Handel towarów kolonialnych.
Wielkie Garbary nr. 16.

Dom Rolniczo-Handlowy
W. Loga & Co., Poznań
Poznań, Teatralna 5 — **Toruń.**
Telefon 1959. — Telefon 135.

kupuje **zboża** wszelkiego rodzaju dając odpowiednie zaliczki,

dostarcza z pierwszorzędnych źródeł wszelkie **artykuły pastewne,** jako to: **otręby i kuchy etc.** w towarze pod gwarancyą czystym.

dostarcza **nawozy sztuczne,** jako to: **tomasówkę, superfosfat, kainit i saletrę chilijską,**

dostarcza **węgiel** z renomowanych kopalni górnośląskich w ładunkach wagonowych. 46

Atelier dentystyczne
od lat 16 istniejące.
Wprawianie sztucznych zębów. 405
Plomby.
Zatruwanie nerwów i toczenie chorych zębów.
J. Czerwiński,
Poznań św. Marcin 53.
Dom ogrodowy.

Nr. 35. Poznań, Niedziela, dnia 27 Sierpnia 1905 r. Rok IX.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 35-go.

Brońmy naszych nazwisk!

Na niedołęstwo i ślepą uległość Polaków spekulują widocznie ci urzędnicy stanu cywilnego, którzy przy wciąganiu w księgi nazwisk noworodków zmieniają końcówkę „ska“ na „ski.“

Wiadomo tym urzędnikom równie dobrze jak nam, że sądy odnośne sprawy sporne rozstrzygały na naszą korzyść, tem samem dając wyraźną naukę urzędnikom, by pisali nazwisko, jak im je poda ojciec lub matka. Nawet z ławy ministeryalnej na interpelacyę posła Dziembowskiego przyrzeczono tego rodzaju „gorliwości“ urzędników zapobiedz, a jednak co chwila dochodzą wiadomości o urzędnikach, hakatyzmem podszytych, którym się wydaje, że oddadzą usługę niemczyźnie, jeżli wykoszlawią polskie nazwisko.

Okazuje się w tem fatalny wpływ hakatyzmu na urzędników. Żaden z nich nie odważyłby się na takie wykroczenie, gdyby nie miał moralnego poparcia hakatystycznej tłuszczy, która każdy antypolski wybryk poczytuje za objaw patryotyzmu. To samo już charakteryzuje szukanie względów wszechmocnej kliki oraz przedpotową naiwność i obłęd tejże.

Już znowu w Poznaniu urzędnik stanu chciał zapisać dziewczynkę *Gościwską* jako Gościwski, jak doniósł „Postęp.“ Z Berlina zaś donoszą, że jeden z tamtejszych urzędników koniecznie upierał się przy ochrzceniu dziewczynki *Okoniewskiej* na Okoniewski, sądząc, że wobec ojca jej *robotnika* może sobie pozwolić na wywieranie nacisku. Ale w obu wypadkach pomylili się urzędnicy! Rodzice oparli się, protokółów nie pisali i — postawili na swojem.

Oby ich przykład podziałał na innych!

Lękamy się, że w wielu wypadkach urzędnicy robią pod tym względem, co chcą, bo strach przed urzędnikiem pruskim jest wśród ludności polskiej taki, że niejeden zapomina języka w gębie, kiwa głową na wszystko, co urzędnik zaleci i tak uświęca swym podpisem samowolę urzędnika.

Każdy człowiek mający szacunek dla siebie, winien mieć też poszanowanie dla własnego nazwiska. Niedołęgów, którzy pozwalają na wykoszlawienie nazwiska swych córek, nie można wprawdzie zestawiać z tymi, co zdemoralizowani i wciągnięci w koła niemieckie, wyrzekają się nazwisk ojców swoich, przyjmując niemieckie, ale i oni grzeszą przeciwko polskości i, o ile działają świadomie, rzucają na siebie podejrzenie, że w pewnych okolicznościach przywlekliby niemieckie nazwisko. Na takie podejrzenie nikt nie powinien się wystawiać.

Kto z ślepej uległości dla urzędnika pozwala na niemczenie nazwiska córki, liche sobie i Polakom wogóle wystawia świadectwo, bo odnośny urzędnik w duszy śmiać się musi z głupoty człowieka, który pozwala mu na to, i skłonnym jest uważać wszystkich Polaków za bydełko, którem można pomiatać.

Natomiast poszanowanie dla siebie wzbudza ten, kto z godnością obstaje przy swojem, trzymając się prawa.

Na każdym kroku musimy dziś czuwać, by nie uszczknięto nam nic z polskości. Brońmy zatem nazwisk ojców naszych, byśmy nie narazili później dzieci na nieprzyjemności, a siebie na pośmiewisko i wyrzuty.

Wszystko, co polskości znamieniem, winno być drogiem dobremu Polakowi.

Ustronny.

W tej samej sprawie przesyłają nam z innej strony ciekawe uwagi pod nagłówkiem:

Urzędnicy administracyi miasta Poznania pod wpływem hakatyzmu.

Ogół społeczeństwa naszego jako i prasa nasza codzienna omawiając wielkie wypadki polityczne, odwróciły uwagę swą od spraw wewnętrznych naszych administracyi miejskich, nie przeczuwając wcale, jakie nam z tej strony zagraża niebezpieczeństwo.

Dotychczas zwracaliśmy uwagę naszą na działalność rządu i jemu podle

głych organów, pracujących w duchu hakatyzmu, ażeby wszystko co polskie zgermanizować.

Wszelkie zakusy pod tym względem okazały się bezskutecznemi. Jednakże organa te nie dają za przegrane i wierzą święcie w to, że przyszłe nasze pokolenia nie będą posiadały tyle odporności i ulegną tej wielce zachwalanej kulturze niemieckiej.

Ażeby zaś znaleść pewną podstawę, gdy chwila ta nadejdzie, postanowiono już teraz ułatwić działalność swym następcom w przyszłem pokoleniu, by oni wykazać mogli światu, jak wielkie postępy uczyniła kultura niemiecka na Wschodzie, której społeczeństwo polskie uledz musiało, zatraciwszy swój charakter polski.

Niema nieomal dnia, żebyśmy nie czytali, że nietylko jednostki, ale całe rodziny polskie otrzymują *„pozwolenie“ na zmianę swych nazwisk polskich na niemieckie.* Są to poczęści urzędnicy, rządowi robotnicy i wogóle ludzie, którzy od władz są zależni. Wszyscy ci wraz z rodzinami są dla społeczeństwa naszego na zawsze straceni. To wszystko atoli panom hakatystom nie wystarcza; oni by chętnie poszczycić się chcieli lepszemi sukcesami i wykazać swym przeciwnikom, że uchwalane rok rocznie przez sejm pruski miliony na wzmocnienie niemczyzny na Wschodzie nie poszły na marne, bo społeczeństwo polskie stopniowo już się germanizuje.

O tem, że społeczeństwo niemieckie zażąda kiedyś od rządu szczegółowego sprawozdania z użytku tych milionów i zapyta, czy one niemczyźnie jaką korzyść przyniosły, wiedzą hakatyści bardzo dobrze. To też przyboczny organ ich tutejszy, *„Posener Tageblatt“*, najlepiej o tem jest poinformowany i bardzo dobrze wie o tem, że miliony te wyrzucone są na marne, bo oprócz kilkudziesięciu zgermanizowanych przez zmianę nazwisk Polaków i zmiany polskich miejscowości na niemieckie, nic więcej poważniejszego nie *osiągnęły.*

W obec takiego fiaska i niepowodzenia wpadł tutejszy „Tageblatt“ może przed 4 laty na inny pomysł, który musię dotychczas bardzo dobrze powiódł. Jak bowiem wiadomem, dostarcza tutejszy urząd stanu cywilnego codziennie tutejszym gazetom niemieckim wyciąg z ksiąg urzędu stanu w oryginale. Kiedy inne pisma niemieckie, a za niemi i polskie wyciąg ten w oryginale podawały, tutejszy „Tageblatt“ zmienił wtedy nagle taktykę. Wszystkie nazwiska żeńskie polskie z końcówką *„ska“* umieszczał jako *„ski,“* nie troszcząc się wcale o to, *że to było fałszowaniem dokumentu.* Długi czas upłynął i nikt do tego nie przypisywał żadnej wagi. Jednakże wytrwałość „Tageblattu“ w germanizowaniu nazwisk polskich musiała z czasem zwrócić uwagę na siebie ówczesnego nadburmistrza p. *Wittinga* i jego przybocznego wyręczyciela p. radzcy *Schultza,* który swego czasu zakwestyonował wybór ławników do sądu procederowego dla tego, że karteczki w *polskim* były wypisane języku. Jaki prąd wtedy wiał w łonie magistratu, o tem wszyscy w Poznaniu dobrze wiedzieli, a niemniej tutejszy „Tageblatt.“ Nie było więc żadną wielką trudnością, podrzędnym urzędnikom magistratu, którzy zajmują się wpisywaniem do ksiąg urzędu stanu, zwrócić na to uwagę, że skoro chcą się niemczyźnie na Wschodzie przysłużyć, winni w księgach stanu cywilnego zapisywać wedle metody „Tageblattu.“

I co się stało? Poznański „Tageblatt“ długo nie potrzebował czekać. Od czasu do czasu natrafić można było już w oryginale nadesłanym z biura urzędu stanu nazwiska polskie zgermanizowane.

Śledząc dalej, podpaść musiało każdemu, który w tutejszych niemieckich gazetach czytuje doniesienia tego urzędu, że w ostatnich latach — a zwłaszcza w ostatnich tygodniach — gdzie tak częste zachodzą przypadki śmierci małych dzieci, że olbrzymia liczba nazwisk polskich płci żeńskiej uległa już germanizacyi.

Nie dosyć na tem, że urzędnicy przy meldowaniu urodzeń germanizują nazwiska nowonarodzonych dzieci, ale równocześnie czynią to z nazwiskiem matki dziecka. Jeżeli zaś matka w krótkim czasie lub zaraz po meldowaniu umrze, to w urzędzie stanu czytamy już zgermanizowane nazwisko matki.

Obecnie doszło w urzędzie stanu już tak daleko, że panowie urzędnicy z całą otwartością i stanowczością występują, zwłaszcza, że podług ostatniego rozporządzenia ministeryalnego, *„mogą“* urzędnicy w wypadkach *„wątpliwych“* zażądać metryk. Takie rozporządzenie było właśnie tym panom na rękę. Odtąd wypadki „wątpliwe“ poczęły się mnożyć w sposób zdumiewający! Ponieważ zaś rozporządzenie nie określa bliżej „jakich“ metryk trzeba dostarczyć, przeto panom urzędnikom nie wystarcza legitymowanie się papierami ślubu rodziców dziecka, lecz żądają przedłożenia metryki matki i babki matki dziecka — a więc nawet prababki dziecka — co przecież połączone jest z wielkiemi niedogodnościami i ze stratą czasu, i odstrasza niejednego do podjęcia trudów, by o papiery te się postarać.

Dotychczas dawano w takich przypadkach tydzień czasu do postarania się o papiery. Lecz najnowszy przypadek wykazuje jasno, że i tego ustępstwa było tym panom za wiele; chwycili się przeto środka radykalniejszego, by tylko cel swój osięgnąć. Otóż w święto Wniebowzięcia Matki Bozkiej, dnia 15-go b. m. poszedł drukarz pan *Walenty Kiełpiński* z drukarni św. Wojciecha zameldować córeczkę i dla przezorności zabrał metrykę swej żony. Naturalnie urzędnicy zapisali w protokóle nazwisko żony i córeczki z końcówką „ski.“ Kiedy im p. K. oświadczył, że żona pisze się po polsku i przedłożył metrykę, oświadczyli, że to im nie wystarcza i żądali, by do godziny 3-ciej po południu tego samego dnia dostarczył im metryki matki i babki żony. Pan K. oświadczył panom urzędnikom, że przecież jest niepodobieństwem w tak krótkim czasie to uczynić, ponieważ musi po metryki dopiero pisać. Panowie ci oświadczyli wtedy p. K., że przecież już kilka dni naprzód wiedział, że pójdzie meldować, więc mógł się już o to poprzednio postarać. Jeżeli do godziny 3-ciej nie dostawi dokumentów, natenczas w protokóle zaznaczonem zostanie, że p. K. podpisu odmówił i meldowanie wobec ostatniego (jakiego?) rozporządzenia uznane zostanie jako prawne i ważne.

Więc doszło do tego, że urzędnicy gminni, którzy pobierają pensye swe od podatkującego obywatelstwa nie wyłącznie niemieckiego, lecz również polskiego, w swych zabiegach hakatystycznych przewyższyli kolegów swych, którzy od rządu pobierają osobne „culagi.“

Skoro więc z taką stanowczością stosuje się powyższą taktykę, przekonani być możemy, że w większości przypadków, gdzie meldowanie uskuteczniają zależne od władzy akuszerki, ludzie nieoświeceni i niewyrobieni, lub Polacy urzędnicy, a nawet ich zięciowie, że w tychże przypadków większości dokonano germanizacyi nazwisk.

Cały ogrom tej germanizacyi nazwisk okaże się dopiero później, kiedy córeczki pójdą do szkół, a później za mąż i urząd stanu cywilnego metryki im wystawiać będzie.

Najwyższy czas, ażeby tej robocie panów urzędników kres położyć. Dotychczas nie zdawano sobie z tego dostatecznie sprawy, a to głównie z tej przyczyny, że nie zbyt wielu czytuje gazety niemieckie, a ci co czytują, sądzą, że to samowola gazet niemieckich, *gdy tymczasem obecnie tak nie jest.*

(W tem miejscu ze względów pra-

sowych opuszczamy ustęp dotyczący germanizacyi nazwisk w szkole, a raczej przy sposobności zapisywania nazwisk uczennic do ksiąg kasowych. Sprawę tę należy gruntownie zbadać, dla tego wręczymy uwagi Szan. Autora prawniczej sekcyi „Straży.“ — Red. „Pracy.“)

Dziś nie ma już wiele czasu do namysłu. *Sekcya prawnicza „Straży“* powinna przystąpić niezwłocznie do akcyi czynnej i za pomocą pism codziennych poinformować społeczeństwo, jak złemu zaradzić i jak je naprawić należy. Czy jest droga wyjścia, ażeby nazwiska zgermanizowane i protokólarnie zapisane, stosownie zmienić, skoro się ma dokumenta do dyspozycyi? Dalej, czy istnieją w tej sprawie jakie specyalne rozporządzenia tyczące się przedłożenia dokumentów prababki nowourodzonej córeczki? Wreszcie, czy niepodpisany protokół uważać trzeba jako prawny? (Nie! — Red. „Pracy.“)

Do akcyi czynnej powinni również nasi radni miejscy przystąpić i za pomocą interpelacyi zapytać pana nadburmistrza, czy jest mu wiadomem postępowanie niższych urzędników.

Spodziewać się należy, że większość radnych, która obecnego burmistrza p. *Künzera,* godnego wyznawcę zasad p. Wittinga na nadburmistrza nie zatwierdziła, która przy uchwalaniu statutu miejscowego dla sądów procederowych i kupieckich, gdzie chodziło o polskie karteczki wyborcze, w myśl wywodów radnego naszego p. mecenasa Trąmpczyńskiego zadecydowała, która przychyliła się również do życzeń radnego naszego p. Ignatowicza, zatwierdzając sędzią polubowym osobę, znającą dobrze język polski, że większość ta i w niniejszym przypadku sprawiedliwością kierować się będzie i panom urzędnikom wytłómaczy, *że polityka wykluczoną jest w administracyi miejskiej,* gdzie obywatele podatkujący bez różnicy narodowości i wyznania *równe* mają prawa.

I od magistratu spodziewać się należy, że jak przy interpelacyi radnego naszego p. J. Kużaja, gdzie rektor szkoły średniej od magistratu otrzymał nauczkę w sprawie przyjmowania polskich uczniów, że tak samo i w tym przypadku pouczy swych urzędników o ich obowiązkach służbowych i „wytłómaczy“ im, że administracya miejska nie jest polem, gdzie się popisywać wolno swym hakatyzmem.

Naturalnie poznański „Tageblatt“ nazwie słuszne żądania radnych polskich śmiesznemi i uczyni im zarzut, że wciągają sprawy polityczne do administracyi miejskiej, zapominając zupełnie o tem, że właśnie sami *urzędnicy* przy każdej sposobności politykę uprawiać zamierzają, a radni nasi o *wykluczenie polityki* z administracyi miejskiej *walczyć muszą.*

Wiesław.

Bojkotowanie rodaków.

II.

Bojkot niewygodnych osobników prowadzi się pokątnie, z pomocą intrygi, plotki w imię interesów osobistych i haseł stronniczych. Inaczej ma się rzecz, gdy chodzi o instytucyę konkurencyjną. Tu nietylko *pokątnie,* ale *jawnie* praktykuje się system podkopywania bytu rywala. A szczególnie jaskrawie uwydatnia się to właśnie w stosunkach pomiędzy prasą, która w pierwszym rzędzie winna kierować się względami na dobro publiczne.

Niestety są redakcye posiadające charakter kramiku, w którym sprzedaje się wiadomości i poglądy, ba! nawet ideałami narodowemi handluje się i frymarczy. Stanąwszy raz na tem stanowisku, gazeta taka kieruje się wobec pism konkurencyjnych pobudkami czysto komercyalnemi. Zwalczając zaś przeciwnika nie posługuje się godziwemi środkami, jak wewnętrznem doskonaleniem się, lecz wypowiada mu papierową zarówno jak pokątną wojnę. Wtedy, czyhając na lada słówko, napada się na przeciwnika, rzuca podejrzenia, podsuwa mu Bóg wie jakie tendencye i zamiary. Wszczyna się polemika. Naiwny czytelnik może sądzić, że chodzi w dyskusyi o rzecz samą, o zwalczanie jakiego dogmatu politycznego lub prostowanie faktu, a tymczasem motywem waśni i kłótni jest konkurencya, zawiść. Nieraz walka przybiera takie formy, że ślepy nawet dopatrzy się istotnego celu naganki, ale i to nie powstrzymuje gazety w zapędzie. Z czelnością, gdzieindziej niebywałą, czepia się gazeta osób czy to redaktora, czy to kogobądź z wydawnictwem związanego i — „hejże na Soplicę.“ Przytem prawda z kłamstwem miesza się zwykle tak, że nikt nie może sprostować, wyjaśnić zagmatwanej mieszaniny. A gdyby nawet kto zdemaskował sprawkę, gazeta pociesza się, że z błota rzuconego na rywala coś jednak na nim pozostanie. W rezultacie dla oplwanego wynika ujma moralna i materyalna, a dla bezczelnego oszczercy, drapującego się w piękne szaty cnót a zarazem apelującego do niskich instynktów czytelnika — korzyść. Smutną jest to rzeczą, że taka naganka opłaca się zwykle, co ujemnie świadczy o zmyśle krytycznym i wyrobieniu kulturalnem sfery czytającej. Wskutek tego zaś napastnik znajduje zachętę do dalszych praktyk.

Dość nieraz słowem spokojnej krytyki narazić się gazecie, aby wystąpiła do walki z całym arsenałem podejrzeń, wymyślań i obelg, poczęła kamionować opozycyjną gazetę w imię interesów swych czytelników i wzywać ich otwarcie do bojkotowania rzekomego „zdrajcy.“ Równocześnie porusza się różne sprężyny w celu podkopania bytu oponenta. Więc nagle z powodu uwagi krytycznej odbiera redakcya najobelżywsze listy od czytelników, częścią inspirowane przez napastniczą gazetę, częścią wypływające z ślepoty piszącego. Obelgi i groźby sypią się jak grad na redakcyą. Legion ajentów rzekomo zaczepionej gazety pracuje nad wyrugowaniem oponenta ze względów czytającego ogółu, nad pozbawieniem go czytelników. Ba! Zwołuje się nawet wiece, pod jakimbądź pozorem, by agitować przeciwko „wrogowi ludu.“ A wszystko to najczęściej z arcybłahego powodu; dlatego, żeś nie uznał monopolu samozwańczego dyktatorskiego stanowiska gazety, obraził jej majestat, zakwestyonował jej nieomylność i — zagroził kramikowi.

Wymowną ilustracyą tego, co napisaliśmy powyżej, jest krucyata, jaką *„Wiarus“* bochumski prowadzi przeciwko „Dzien. Polskiemu“ i *„Postępowi.“*

Do czego to prowadzi? Do *obawy* jednego pisma przed drugiem, a zatem do tolerowania tego, czego sumienie obywatelskie tolerować nie powinno, do nieszczerości, fałszu i obniżki etyki w dziennikarstwie.

Niedawno w *„Dzien. Pozn.“* pewien korespondent z Prus Zachodnich pisał:

„Całe społeczeństwo zachodnio-pruskie uznaje sposób polemiki naszych pism za niemożliwy. Jedna może *„Gazeta Gdańska“*, suchotniczy niestety, jak do niedawna, żywot prowadząca, posiada najwięcej taktu i gani prywatnie broń niegodną swych koleżanek, otwarcie atoli wystąpić nie śmie *z bojaźni przed potęgą „Gazety Toruńskiej“* i *„Gazety Grudziądzkiej“*, która obecnie *„Gaz. Toruńskiej“* wtoruje, a obydwie w społeczeństwo nasze biedne rozłam i rozterki na dobre wprowadziły.

Czy i o ile wzmiankowane gazety zgrzeszyły nie wiem, ale skądinąd wiadomo, że z obawy przed bojkotem ze strony konkurenta nieraz gazeta milczy, gdy powinna mówić (przez co prasa się wyjałowia), a nawet wbrew przekonaniom przygrywa współzawodniko-

wi na basach, by jej pokątnie przez ajen ów i otwarcie przez fałszywe alarm i hece nie szkodził.

aj nasuwa mi się myśl straszna, (o była fałszywą!) — Ta bojaźń *„Gaz. Gdańskiej“* przed... itd., czy to nie pachnie terorem? *„Gaz. Gdańska“* bowiem doświadczona mówi: *Skoro ja się odezwę, natychmiast mnie napiętnują jako szlachecką, klerykalną, ugodową w najgorszem tych słów znaczeniu.* Wywloką najgorsze strony prawdziwe i nieprawdziwe, *podkopią mój byt, zniewolą do milczenia“. — Otóż teror“.*

Ofiary bojkotu znajdujemy nietylko pomiędzy osobnikami w życiu prywatnem i publicznem, ale pomiędzy gazetami. Niejeden organ naraził się na ujmę i stratę materyalną przez to, że *pełniąc swój obowiązek,* dążąc do oświaty i podniesienia moralnego ludu, naraził się innemu organowi.

Że w takich okolicznościach obniża się wartość prasy i odstrasza się chętnych od służby publicznej — nie ulega wątpliwości. Brak niektórym publicystom i ludziom, mającym wpływ na bieg spraw naszych istotnego umiłowania sprawy, za jaką walczymy, brak — gwiazdy przewodniej. Zamiast wobec rodaków postępować według zasady: „żyj i daj innym żyć,“ zasklepiają się w nizinach swego małego ja, patrzą na bliźnich pod kątem swego kramarskiego interesu i szyderczych ambicyjek. Z drugiej strony niewyrobione masy nie rozróżniają kąkolu od kłosów, idą na lep krzykaczów, rozmiłowane w spektaklach osobistych swarów. Na niskie ludzkie instynkty, na naiwność i łatwowierność spekulują małoduszni rycerze bojkotu.

W tych okolicznościach niejeden zdolny obywatel, który mógłby oddać usługi ogółowi, chowa się w mysza dziurę, by za ujawniane przekonania nie ukarano go bojkotem z tej lub owej strony. Jakoż wzmiankowany korespondent z Prus Zachodnich pisze:

„Nic dziwnego, że dziś mówią już głośno pomiędzy sobą i księża i lekarze i obywatele ziemscy i adwokaci i wielu innych inteligentnych: „Dziś nie nam ratować matki ojczyzny, nie nam brać udział w pracach publicznych, skoro głowy zapalone nas wciąż piętnują, prowokują, osądzają, klasyfikują, mniej uświadomionych naprzeciw nam podbechtują — w końcu ośmieszają i nam wymyślają“.

Kto rozumie znaki czasu, ten z trwogą widzi dziś w Prusach Zachodnich już wiele gruntu przygotowanego dla zupełnej dezorganizacyi i anarchii społecznej i narodowej.“

Ot do czego prowadzi w skutkach bojkotowanie i teroryzowanie rodaków!

Jest to nadzwyczaj smutnym objawem w ustroju i życiu naszej dzielnicy i równie smutnym skutkiem tej nietolerancyi i zawiści, posuwającej się do niezgodnego z duchem chrześcianizmu bojkotowania rodaków.

O ile korzystnem dla ogółu, etycznie pięknem jest szlachetne współzawodnictwo, o tyle szkodliwym, trującym soki społeczności i brudnym jest ów bojkot, pod przejrzystemi osłonami występujący u nas tak często i paraliżujący wielokrotnie akcyę obronną żywiołu polskiego.

Niemcy uczą nas jaknajściślejszego odróżniania Polaka od Niemca, uczą nas walki w zwartym szeregu i miłości bratniej. Czy nauka ta ma pójść w las?... *M. R. W.*

Z niwy politycznej.

Wracamy jeszcze kilku słowy do *drugiego wiecu „Straży,“* który się odbył w Dortmundzie. Większość mówców i ogół słuchaczy stanęli po stronie „Straży“ i jej wiecu zorganizowanego przez zwolenników dortmundzkiego „Dziennika Polskiego,“ szereg oponentów z obozu bochumskiego „Wiarusa Polskiego“ walił niemiłosiernie w „Straż,“ w polską „szlachtę“ i w „panów poznańskich.“ Oponenci utyskiwali na „Straż“ za to, że młoda organizacya milcząco przeszła do porządku dziennego nad starszym od niej „Związkiem Polaków“ „Dz. Polski“ w obronie organizatorów wiecu zaznacza, że „Związek Polaków“ w Dortmundzie i jego okolicy nietylko żadnych nie ma wpływów, ale umyślnie nawet okręg ten zaniedbuje. Oczywiście byłoby się lepiej stało, gdyby „Straż“ była się do „Związku Polskiego“ zbliżyła po przyjacielsku i podała mu szczerze dłoń do zgodnego, harmonijnego współdziałania. Jeżeli tego nie zrobiono, jeżeli się kontentowano referatem p. Czarneckiego, (red. „Dz. Pol.“), wyjaśniającym stosunek „Straży“ do „Związku Polskiego,“ kierowano się snać głębszą przyczyną. Przyczynę tę scharakteryzujemy zwrotem „Orędownika:“ „Z „Wiarusem“ dyskusya niemożliwa.“ A „Związek Polaków“ jest, rzec można, partyjną organizacyą „Wiarusa.“ Gdyby nie nieszczęsne „Wiarusowe“ geszefciarstwo polityczne, inaczejby dziś w Westfalii wyglądało i na innym tam gruncie mogłaby się dzisiaj „Straż“ rozwijać. Niestety, nie wierzymy, by „Wiarus“ kiedykolwiek usłuchał rad i napomnień narodowej prasy ludowej, by, zawiesiwszy swą „polsko-westfalską“ politykę na kołku, wszedł ostatecznie na tory uczciwej polityki narodowej. „Wiarus“ pozostanie „Wiarusem,“ „Brejszczyzna“ — „Brejszczyzną,“ chyba, że panów tych spotka los — „Katolika,“ oczywiście w odmiennych warunkach. „Orędownik,“ traktujący zresztą „Wiarusa“ więcej niż oględnie, tłomaczy sobie jego wycieczki przeciwko „szlachcie“ i „panom poznańskim“ zwykłą manią prześladowczą. Wedle naszego zdania, ta mania prześladowcza jest tylko maską, pod którą się kryje chytra fizyognomia demagogów ludowych najgrubszego kalibru. Tę demagogię niektóre nasze pisma ludowe przez kilka niestety lat popierały przeciwko żywiołom szczerze narodowym; dziś otwierają im się oczy, gdy już — zapóźno.

Jeszcze jedna uwaga. W prasie codziennej zwrócono uwagę na pewnego rodzaju blichtr, który się zakrada w sferę „Straży.“ Ustawiczne mówki, toaściki, telegramy i okrzyki na cześć (przykro nam, że musimy wymienić nazwisko!).... p. Kościelskiego budzą niesmak w szeregach ludzi, którzy w „Straży“ widzieć chcą organizacyę rzetelnej pracy, a nie towarzystwo kultu wzajemnego. My zresztą p. Kościelskiemu ani dobrych chęci, ani zasług odmawiać nie myślimy; my w p. Kościelskim cenimy przedewszystkiem inteligencyę — ale dla tego właśnie uważamy, że satelici p. Kościelskiego wprost mu *ubliżają,* albowiem — jak się wyrażono pod adresem pewnego monarchy — tylko małym ludziom schlebia się. Niech ci satelici pamiętają o tem, że z takiej organizacyi, jaką „Straż“ być ma i być musi, nie wolno robić zabawy z fajerwerkami, jeżeli się od niej odstręczyć nie chce najrzetelniejszych żywiołów, ludzi codziennej uczciwej pracy społecznej.

* * *

Po mowie króla pruskiego! Już w zeszłym numerze krótko wzmiankowaliśmy o sprzedaży *Michałowa,* której dokonał p. Józef Grochowski na korzyść nieznanej ogółowi polskiemu osobistości, a mianowicie niejakiegoś Nowaka. Nowak przewłaszczył wieś p. Michalski'emu (?), który na razie jest jeszcze jej właścicielem. Którego dnia i której godziny komisya kolonizacyjna zagarnie Michałowo, trudno przewidzieć. Jako ajent fungował Lipiński, obecnie przyaresztowany za zbrodnię przeciwko moralności popełnioną na 13-letniej dziewczynce. Społeczeństwo polskie musi p. Józefa Grochowskiego traktować na równi z bezpośrednimi kolonizatorami. Pan ten sprzedał swą wieś bez potrzeby i w takich warunkach, że w chwili sprzedaży

ani on, ani społeczeństwo polskie co do przyszłości Michałowa najmniejszej nie miało gwarancyi.

Po Kościanie rozniosła się wieść, że w ręce komisyi kolonizacyjnej przejść ma *Donatowo*, 400 morgowy folwark p. Niklasa.

Również poważnie zagrożoną ma być majętność p. Bronikowskiego w *Borównie*, w powiecie toruńskim; p. Br. jest obywatelem zamożnym.

Smutna kronika! Społeczeństwo polskie nie winno się jednakowoż kontentować biernem przyjmowaniem takich faktów do wiadomości. Czy istotnie jesteśmy bezsilni? Czy „Straż" także bezsilna? Czy groźba wyeliminowania sprzedawczyków z naszego społeczeństwa równa się rzucaniu grochu o ścianę? Czy istotnie umiemy być bezwzględnymi, na każdym kroku bezwzględnymi wobec sprzedawczyków i ich braci mlecznych?

* * *

Niemcy — to kultura, Niemcy — to wolność! Niemiecki kulturtregier, a zarazem naczelny dowódzca wojsk niemieckich w południowej Afryce, Hererom obwieścił co następuje:

„Ja wielki generał żołnierzy niemieckich, przesyłam ten list ludowi Hererów. Hererowie nie są już niemieckimi poddanymi. Mordowali, kradli i rannym żołnierzom obrzynali uszy, nosy i inne części ciała, a teraz z tchórzostwa nie chcą dalej walczyć. Oświadczam ludowi: Kto przyprowadzi jednego z kapitanów jako jeńca na jednę z moich stacyi, otrzyma 1000 marek, kto przyprowadzi Samuela Mahahero, otrzyma 5,000 marek. Lud Hererów musi teraz kraj opuścić. Jeżeli lud tego nie uczyni, zmuszę go do tego za pomocą broni palnej.

W granicach ziemi, należącej do Niemiec, zastrzelony zostanie każdy Herero, napotkany z bronią lub bez broni, z bydłem lub bez bydła. Nie przyjmę już żadnych kobiet ani dzieci, wypędzę je, albo każę strzelać do nich. To są moje słowa do ludu Hererów.

Wielki generał potężnego cesarza von Trotha."

* * *

W sprawie szkolnej w Królestwie podał właściciel szkoły urzędowej, były generał wojsk rosyjskich Chrzanowski — Polak memoryał o zaprowadzeniu języka polskiego wykładowego. Sprawa była na pomyślniejszej drodze, bo Chrzanowski jako były wysoki urzędnik znalazł w Petersburgu poparcie. Tymczasem zniweczył cały plan raport gen. gub. Maksymowicza, że odezwa arcybiskupa Popiela wywarła w Królestwie takie wrażenie, że prawdopodobnie bojkot szkoły ustanie i polski język wykładowy stanie się zbyteczny.

Nie podkreślamy w tym przypadku zbytnio kwestyi wysyłania przez „sprawiedliwego" p. Maksymowicza fałszywych raportów obliczonych na szkodzenie społeczeństwu polskiemu — fałszywemi bowiem raportami operują wysocy urzędnicy nawet w nieco kulturalniejszych od Rosyi państwach — nas interesuje znamienny zbieg okoliczności, że były urzędnik carski stara się o polski język wykładowy, a — dostojnik kościelny, arcybiskup Polak postępowaniem swojem starania te faktycznie niszczy.

Z Petersburga telegrafują do „N. Ref." co następuje: Z najlepszego źródła dowiadujemy się, że koncesye na prywatne szkoły polskie nie będą wydawane, dopóki dyrektorzy gimnazyów rządowych nie złożą sprawozdania o ilości głosów. Gdyby młodzież do szkół dawnego typu powróciła, koncesye nie będą wydawane. Natomiast jeżeli dotychczasowy bojkot szkoły rosyjskiej będzie utrzymany, koncesye mają być wydawane bez przeszkód. Chwila obecna jest najważniejszą. Słabość i chwiejność i małoduszność mogą zniweczyć zwycięstwo. Dalsze utrzymanie strejku nie jest już tylko wytrwaniem na raz powziętem stanowisku — ale jest koniecznym i jedynym sposobem pomyślnego zakończenia sprawy.

* * *

Internowanie H. Sienkiewicza, hr. Zamoyskiego, Tyszkiewicza, Platera i Chełchowskiego! Powyższej alarmującej wiadomości nie chciano pierwotnie wcale wierzyć. Zapytywano, jakąż zbrodnię polityczną popełniło 5 obywateli polskich, których imię w chwili dzisiejszej płynie z ust do ust. Otóż jedyną ich zbrodnią okazało się to, że pierwsi podpisali znany, z inicyatywy stronnictwa demokratyczno-narodowego, ale bynajmniej nie przy jego wyłącznem współdziałaniu do skutku doszły memoryał 450 obywateli z inteligencyi, dotyczący języka polskiego w szkolnictwie i administracyi Królestwa. Ogólnie przyznają, że memoryał zawierał zestawienie przeciętnych, wcale nie wygórowanych żądań społeczeństwa polskiego.

Żądał on stosunkowo nie wiele, a protestował przeciwko tym niepochwytnym, niejasno określonym drobiazgom, które społeczeństwo polskie otrzymać miało z łaski komitetu ministrów, a które następnie, w praktyce, zmniejszono jeszcze bardziej.

Tymczasem i te tak skromne żądania uznano w Petersburgu za zbyt daleko sięgające, niemal za rewolucyjne. Co więcej, nie znalazły one zupełnego uznania także u tych postępowych pism rosyjskich, które zresztą okazują Polakom pewną życzliwość. — Organa te czuły się dotknięte tonem owego memoryału i uznały go za niewłaściwy wobec — carskiego rządu.

Prasie tej musimy, choć zresztą sympatycznie odnosimy się do rosyjskich konstytucyonalistów, zrobić zarzut, że mimo wszystko nie może się wyzbyć tradycyjnej rosyjskiej uległości wobec rządu carskiego.

Na stronnictwo, z którego inicyatywy powstał wspomniany memoryał, bardzo się rozgniewał *„Dzien. Pozn."* Nie jesteśmy żadnym organem partyjnym, lecz pismem stojącem na ogólno narodowej podstawie. To też nie w celu uprawiania partyjnej polityki, lecz w zamiarze scharakteryzowania poziomu moralnego „Dzien. Pozn.", cytujemy dosłownie zdanie „Dzien. Pozn.", wydrukowane grubemi czcionkami: „To też bodaj się mylimy, twierdząc, że manifest carski, wykluczający Królestwo Polskie z powszechnego regulaminu wyborczego, ułożono pod wpływem tego, co zdziałali wszechpolacy, narodowo-postępowo-demokraci (??), szowiniści i radykaliści, czyli innemi słowy, opieszałość, nieuctwo polityczne, histerya i *męty moralne*" (!!!) Szkoda, że „Dzien. Pozn." nie dodał komentarza wyjaśniającego ten ustęp i deklarującego, o ile „Dz. Pozn." Sienkiewicza, hr. Zamoyskiego, Tyszkiewicza, Platera i Chełchowskiego także zalicza do *„mętów moralnych."* Miotanie się „Dzien. Pozn." byłoby w swoim rodzaju wesołe, gdyby gwałtowne wymioty przykrej nie nasuwały myśli, że „Dzien. Pozn." zachorował na — tyfus.

P . . . x.

Listy z Westfalii.

Horsthausen, w sierpniu 1905.

„Dzieci polskie na obczyźnie".

Kiedy wyczytałem w num. 32-gim *„Pracy"* arykuł w sprawie dzieci naszych na obczyźnie, przyszedłem do tego przekonania, iż największy czas, aby prasa nasza zajęła się tą najbardziej piekącą sprawą.

Los dzieci naszych jest tutaj na zachodzie Niemiec, rzec można, opłakany, gdyż wszystko, z czem się spotykają, co ich otacza, tchnie wrogą nam niemczyzną.

Dziecko ledwie mówić zaczyna już podchwytuje wyrazy obce. Matka zwykle na to nie zważa, nieraz śmieje się i cieszy z tego, że dziecko jest tak pojętne. To też smutnie, kiedy przechodząc ulicą, słyszy się całe gromady

dzieci polskich rozmawiających po niemiecku; — na takie rzeczy patrzy się codziennie, ale nie zwraca się uwagi wcale, lub też tylko bardzo mało.

Słusznie zauważa autor rzeczonego artykułu, że obowiązki matki wobec dziecka nie są tak trudne, jak się na pozór wydaje. Lecz cóż, kiedy matka sama nie wyniosła z domu żadnego poczucia godności narodowej. Po większej części woli trudnić się plotkami, jak zająć się swojem dzieckiem. To też dziecko biega cały dzień po ulicy, gdzie ma styczność z dziećmi szkólnemi; a słusznie zauważa pewne pismo niemieckie, że pierwsze dziecko polskiej rodziny, które przestępuje próg szkoły, staje się najskuteczniejszym germanizatorem swojego współrodzeństwa.

Do powyższego zdania uwagi chyba zbyteczne. Wiadomo, jaką opieką otacza szkoła pruska dzieci polskie w kraju; cóż dopiero na obczyźnie? Pewnego razu wziąłem historyczną książkę szkólną. Ile to tam na pozór drobnego, ale mimo to niebezpiecznego fałszu co do historyi polskiej. Czego nie dokona szkoła, to dokona kościół. Dziecko uczęszczające do szkoły musi regularnie chodzić do kościoła na msze św., gdzie modli się po niemiecku z niemieckiej książki.

Fanatyzm hakaty z całą siłą dąży do tego, aby dzieci nasze zgermanizować i istotnie osięgnął już wielkie rezultaty. A z naszej strony czy starano się przeciwdziałać? Przeciwnie, sami niejako dążymy do tego, i najskuteczniej germanizujemy własne dzieci. — Ojciec w domu, zamiast uczyć dzieci historyi polskiej, wymyśla na szlachtę polską, na duchowieństwo, na kupców, przemysłowców polskich i wogóle na wszystko co polskie, co nam powinno być drogie i święte. Dziecko wsłuchuje się w to i od razu zatraca przywiązanie do stron rodzinnych, które przedstawia sobie jako coś zacofanego — barbarzyńskiego. To też na żadnem polu nie osiągła germanizacya takich skutków jak tam, gdzie my sami dajemy do tego największą sposobność.

Nie piszę tutaj o jednostkach — gdyż jako robotnik, śledzę stosunki w dość szerokich kolach, z któremi mam co dzień styczność. — I tak dziecko przynoszące ojcu obiad do pracy, rozmawia z nim po niemiecku. Razu pewnego byłem u prezesa pewnego Tow. i przewodniczącego komitetu w sprawie opieki duchownej — i tam rozmawiano z dziećmi po niemiecku. To też strach pomyśleć, co z tego będzie, jeśli tak dalej pójdzie. — Kiedy tak obliczyłem w najbliższem otoczeniu, nie mogłem się dopatrzeć ani czterech procent dzieci należycie po polsku wychowanych.

Ciężko jest rzeczywiście wychować dzieci tutaj na obczyźnie, tak, jak by się należało, jednakowoż przy dobrych chęciach o wiele więcej by zdziałać można. *R. K.*

Wojna czy pokój?

W chwili, gdy to piszemy, w *Portsmouth* w Ameryce ważą się naprawdę losy pokoju między Rosyą a Japonią.

Po dwutygodniowych rokowaniach, w których jedna strona starała się uzyskać jaknajwięcej, druga zaś dać jaknajmniej, osiągnięto nareszcie taki rezultat:

Rosya zgodziła się na odstąpienie Japonii *Portu Artura, Dalny i praw swoich do półwyspu Liaotung;* dalej zgodziła się na oddanie *Mandżuryi* Chinom, a *kolei mandżurskich Japonii,* wreszcie na uznanie protektoratu japońskiego nad *Koreą* i przyznanie Japończykom prawa rybołówstwa na wybrzeżach wschodniego Sybiru. Stanowczo natomiast wzbrania się rząd rosyjski do tej chwili odstąpić Japonii *wyspę Sachalin,* wydać jej internowane w portach neutralnych *okręty, zapłacić odszkodowanie wojenne,* a dalej, nie chce się zgodzić na warunek, ażeby w przyszłości wolno mu było utrzymywać na wodach wschodnio-azyatyckich *tylko małą morską siłę zbrojną.*

Od ostatniego tego warunku Japonia możeby odstąpiła, natomiast o zrzeczeniu się kontrybucyi wojennej, wyspy Sachalinu i owych okrętów *ani słyszeć nie chce.*

We wtorek dnia 22-go b. m. obie strony sformułowały raz jeszcze swoje stanowisko w osobnych protokółach i przystąpiły do *ostatecznej* wymiany zdań. Po dłuższych obradach odroczono posiedzenie do dnia następnego. W chwili gdy to piszemy, nie wiadomo jeszcze, na czem się skończyło. Wszyscy atoli korespondenci z Portsmouth donoszą, że widoki pokoju *zmalały ogromnie* i że nagłe zerwanie układów *nie jest wcale wykluczone.*

Słychać tymczasem, że prezydent *Roosevelt* i kilka rządów europejskich zamierza się podjąć *pośrednictwa....*

Gdy numer niniejszy dojdzie rąk Czytelników naszych, sprawa będzie już rozstrzygnięta zapewne.

Lector.

Tydzień polityczny.

Nareszcie stało się faktem, o czem na dobre już powątpiewano: *car dotrzymał słowa:* powołał do życia *zgromadzenie parlamentarne, uczynił pierwszy decydujący krok na drodze do konstytucyi.*

Wśród huku dział i odgłosów wszystkich dzwonów cerkiewnych ogłoszono w sobotę dnia 19 bm. w *Petersburgu* i w *Moskwie* manifest carski, oznajmiający narodowi, że car dla dobra Rosyi postanowił utworzyć „Dumę" czyli „Radę", złożoną z wybranych przez ludność posłów. Do manifestu tego dodane były: regulamin dla przyszłej „Dumy" i ordynacya wyborcza dla 51 gubernii państwa. Nowemu ciału parlamentarnemu nadano nazwę: *„Duma gosudarstwiennaja"* — czyli państwowa. Ma się ona zebrać w połowie stycznia w pałacu carskim w Gatczynie pod Petersburgiem.

Gdyby car Mikołaj uczynił był krok ten przed kilku laty, a nawet jeszcze przed rokiem, byłby on zapewne wywołał w Rosyi ogromny zapał. Dziś nigdzie tam nie widać ani radości ani zapału. Dlaczego? Ot dla tego, że to, co car dziś dał narodowi swojemu, zjawia się już zbyt *późno* i tym, którzy pragną konstytucyi w Rosyi, *już nie wystarcza.*

Ostatnie siedm miesięcy dziejów Rosyi były ciężką szkołą dla narodu rosyjskiego. Walka o wolność, jaka się w tym czasie toczyła, popchnęła o olbrzymi krok naprzód całe życie społeczno-polityczne w Rosyi, wszelkie aspiracye i postulaty. Dziś olbrzymia większość inteligencyi narodu rosyjskiego żąda *zupełnej wolności, zupełnej konstytucyi.* Tymczasem, co jej dano? Jak się przedstawia ten spóźniony dar carski?

Przedewszystkiem *nie jest to jeszcze konstytucya* nawet w najumiarkowańszem tego słowa znaczeniu. Podstawy zasadnicze państwa carskiego nie zostały zmienione, *Rosya ma i nadal pozostać państwem autokratycznem, car jedynem źródłem władzy prawodawczej.* Narodowi przyznano jedynie głos *doradczy* w sprawach państwowych, a i ten głos tylko w ograniczonej mierze. Przyszła *„Duma"* państwowa otrzymała wprawdzie prawo projektowania i uchwalania ustaw, dalej prawo kontrolowania budżetu i władz państwowych, lecz nie dano jej żadnego środka, którym by wywrzeć mogła należyty wpływ na rząd i na bieg spraw państwowych. Wolno jej budżet państwowy omawiać i krytyko-

wać, lecz rząd nie potrzebuje jej zezwolenia na pobieranie podatków, na wydatki ani na pobór rekruta. Uchwalone przez nią ustawy będą miały tylko charakter *projektów*, których wprowadzenie w życie zależeć będzie *od dobrej woli i uznania stojącej ponad nią czynowniczej Rady państwa i samego cara.* Członkowie „Dumy" mogą żądać od ministrów wyjaśnień i odpowiedzi w wypadkach, w których zachodzić będą pewne nadużycia, lecz *ministrowie nie będą odpowiedzialnymi za czyny swoje przed „Dumą".*

Obrady jej *nie będą jawne tak*, jak w krajach konstytucyjnych. Do sali obrad publiczność nie będzie miała dostępu. Prasie wolno wprawdzie wysyłać swoich sprawozdawców na posiedzenia „Dumy", lecz ich sprawozdania polegać mają *kontroli a raczej cenzurze marszałka*, który nadto ma mieć prawo zarządzenia każdej chwili posiedzeń *zupełnie tajnych.*

Z jakich zaś *czynników* składać się ma przyszła „Duma?" Otóż z czynników, które nie zawsze będą prawdziwymi reprezentantami narodu. Ordynacya wyborcza jest może *najgorszą stroną* nowego tego ustępstwa carskiego. Ma ona dwie cechy zasadnicze: po pierwsze opiera się ona na *stanowym i dwustopniowym sposobie wyborów, a po drugie na cenzusie majątkowym.* Uprawnienie do głosowania uczyniono zależnem od pewnej dość *znacznej* wartości własności nieruchomej lub wysokości opłacanego *podatku* mieszkalnianego. *Miliony więc szerokich kół ludności wykluczono z góry od prawa głosowania*, ci zaś, których dopuszczono do wyborów, głosować będą nie wprost, lecz dopiero za pośrednictwem *„walmanów"* czyli wyborców bezpośrednich. *Ludności włościańskiej*, której zresztą przyznano stosunkowo *wielką* liczbę posłów, utrudniono wykonywanie prawa wyborczego w ten sposób, że zaprowadzono dla niej wybory *trzystopniowe.* Najprzód wybierani będą *mężowie zaufania*, ci dopiero wybierać będą *„walmanów"*, którym przysługuje wybór posła. Szczególnie po macoszemu postąpił rząd względem *miast*, tych głównych ognisk *inteligencyi.* Na 412 posłów, którzy tworzyć mają „Dumę", przypadać ma na wszystkie większe miasta Rosyi zaledwie 28! Wszystkie zaś akty wyborcze tak oddano pod nadzór *władz państwowych, czynowniczych*, że mimo ustanowionego tajnego głosowania za pomocą *gałek*, o zupełnie *wolnym wyborze zapewne na razie ani myśleć nie będzie można.*

Biurokracya, która wypracowała ten manifest carski, liczyła też zapewne na to, że reprezentacya narodowa, przeszedłszy przez tyle filtrów systemu wyborczego, *nie będzie dla niej zbyt groźna.*

Oto główne rysy przyszłego „parlamentu" rosyjskiego. W tej formie będzie on tylko *próbą* parlamentu. Nic dziw więc, że naród rosyjski nie jest z niego zadowolony. Większość liberalnych dzienników ostro też krytykuje ten dar carski, wyrażając obawę, że nie zdoła on złamać samowoli biurokracyi. Stronnictwa rewolucyjne odrzucają go zaś stanowczo, nazywając go *„farsą parlamentarną, konstytucyjną".*

A jednak — mimo wszystkich tych braków to ustępstwo carskie ma dla Rosyi *niezmierną doniosłość, ogromne wprost przełomowe znaczenie.* Nie daje ono jej wprawdzie od razu zupełnej konstytucyi, lecz *otwiera na rozcież drogę do jej osiągnięcia. Sam manifest carski* przewiduje dalszy rozwój kompetencyi „Dumy" przy jej współudziale i współpracownictwie. Naród rosyjski otrzymał w każdym razie *pierwszą trybunę*, z której może przemawiać *bezpośrednio do cara, wypowiadać swoje zdania, walczyć skuteczniej niż dotychczas o dalszą wolność, dalsze prawa. W zasadzie absolutyzmu powstał wyłom ogromny.*

I w innych zresztą krajach rozwój konstytucyjny przebywał z początku ciernistą, pełną przeszkód drogę, dokonywał się powoli, stopniowo. Wszędzie absolutyzm monarszy nie od razu zrzekał się wszelkich swoich prerogatyw, wszędzie ludy stopniowo dopiero wywalczać sobie musiały pełną swobodę konstytucyjną. *Walka o tę swobodę dziś dopiero w Rosyi rozpocznie się na dobre* — a rezultat jej zależy od świadomości celu i energii narodu rosyjskiego, przedewszystkiem zaś od tego, jakich *mężów* wyśle on jako swoich reprezentantów do przyszłej Dumy.

* * *

Jak zaś przedstawia się „dar" carski — wobec *Królestwa Polskiego?* Niestety — jeźli jest on małym dla Rosyi, *to jeszcze mniejszym i marniejszym dla naszych braci w Królestwie.* Manifest carski nie wyklucza wprawdzie tej części Polski zasadniczo od „dobrodziejstw" nowego porządku rzeczy, stawia ją atoli co do korzystania z tych „dobrodziejstw" na równi z *Sybirem, Kaukazem, Turkiestanem i terytoryami, zamieszkałemi przez plemiona półdzikie koczownicze.* Królestwo Polskie ma otrzymać *odrębną ordynacyę wyborczą*, która bezwątpienia będzie jeszcze gorszą, niż ordynacya dla Rosyi, a która zredukuje liczbę posłów polskich *do małej zapewne garstki.* Ordynacya ta nie jest jeszcze wypracowana, zajmuje się nią dopiero osobna komisya. Wobec tego obawiać się trzeba, że wybory w Królestwie nie będą się mogły odbyć równocześnie z wyborami w Rosyi; że gdy w Gatczynie zbierze się owa „Duma" — *Polaków z Korony w niej jeszcze nie będzie.* Ponownie oto powiedział nam rząd carski: *„precz z marzeniami,"* ponownie — nawet w takiej chwili — odmówił nam najskromniejszego nawet równouprawnienia. Krążą wieści, że to również owoc zjazdu... *w Borgo na Bałtyku.*

Stronnictwo socyalistyczne w Królestwie odpowiedziały na tę nową krzywdę *proklamowaniem powszechnego strejku.* Wybuchł on rzeczywiście i w chwili, gdy to piszemy, zawisła nad Królestwem nowa ciężka burza.

* * *

Ten akt ogłoszenia pseudokonstytucyi w Rosyi był najważniejszym wypadkiem politycznym w ubiegłym tygodniu. Po zatem nie wiele nowego zaszło na widowni politycznej, a to „nowe" koncentruje się niemal na *Niemcy i Prusy.*

Prasa niemiecka jest ogromnie oburzona na *Anglią* i jej króla *Edwarda.* Obrał on rzeczywiście drogę, na której nie mógł się spotkać z cesarzem Wilhelmem; natomiast wstąpił do *Ischl* w Austryi, gdzie obecnie przebywa sędziwy monarcha austro-węgierski i z nim odbywał długie podobno wysoce polityczne narady. Ztamtąd zaś udał się wprost do Marienbadu na kuracyę. — Prasa angielska szydzi zaś wprost z zawodu, jaki spotkał Niemców i wcale niedwuznacznie daje do zrozumienia, że bynajmniej nie pragnie serdeczniejszego stosunku z Niemcami.

Lecz szerokie koła *Niemiec* mają jeszcze dużo innych powodów do *irytacyi i niezadowolenia.* W całem państwie panuje ogromna *drożyzna mięsa*, rolnictwo krajowe nie jest bowiem obecnie w stanie zaspokoić całego zapotrzebowania tego ważnego środka żywności. Ze wszystkich też stron zwracają się do rządu z petycyami, aby otworzył granicę dla bydła, a zwłaszcza dla nierogacizny *z zagranicy.* Żądania to najzupełniej słuszne; obecny minister rolnictwa, pan *Podbielski* dba atoli bardziej o interes junkrów agraryuszy niż o dobro szerokich mas ludności. Aby tedy nie obniżać cen bydła, oświadczył kategorycznie, że o otwarciu granic dla mięsa zagranicznego *ani mowy być nie może.* Gdy zaś interesowane koła zwróciły się z tem żądaniem do kanclerza, księcia *Buelowa*, ten oświadczył, iż pan *Podbielski*, a nie on decyduje w tych sprawach. To o-

świadczenie bardzo za złe wzięto ks. Buelowowi.

Wojna z *Hererami i Witbojami* toczy się dalej. Zginęło w niej lub odniosło rany już blisko 2000 żołnierzy — a koszta jej dochodzą *do 200 milionów*. Dziś zaś krążą pogłoski, że potrzeba będzie jeszcze *dalszych a znacznych ofiar w ludziach i pieniądzach*.

Na domiar złego podobnie złowrogie wieści nadchodzą z *wschodniej niemieckiej Afryki*. I tam zanosi się na ogólne powstanie krajowców. Jeden z szczepów, który już się zbuntował, *zamordował biskupa katolickiego (Niemca) i kilku misyonarzy*. Jeżeli i tę kolonię niemiecką ogarnie płomień buntu ogólnego — powinszować będzie można płacącym podatki obywatelom Niemiec.

Wszystko to wywołało w Niemczech silne wrzenie, które wyraźnie przebija się w prasie.

Na zakończenie jeszcze inna „mała" wiadomość z Afryki. Sułtan *marokkański*, mając za sobą *Niemcy*, sądził już, że drwić sobie może z Anglii i z Francyi. Jego władze skrzywdziły niemal równocześnie angielskiego i francuzkiego poddanego, gdy zaś rządy tych państw zażądały zadośćuczynienia, sułtan stawił się hardo i odpowiedział *odmownie*. W chwili gdy to piszemy, zanosi się na poważną anglo-*francuzką demonstracyą w Marokku, a ta demonstracya grubo kosztować będzie zbyt lekkomyślnego sułtana*, przedewszystkiem zaś pouczy go, że Niemcy bynajmniej jeszcze nie są wszechwładnymi panami świata i że nawet pod ich opieką nie wolno ograbiać i więzić obcych poddanych *M. O.*

Przegląd prasy.

W zeszłym numerze „Pracy" wypowiedziany przez nas pogląd na bytomski „Związek wzajemnej pomocy" podziela w zupełności *„Górnoślązak,"* skoro pisze:

„Nie wolno tą instytucyą narodową rzucać jak piłką z rąk jednej partyi politycznej w ręce drugiej, gdyż w ten sposób Związek dostałby się z deszczu pod rynnę. Wiemy dokładnie i znamy tych ludzi, którzy by chcieli dostać Związek pod swoją komendę. Związek jako organizacya robotnicza winien się wyrzec wszelkiej polityki, winien wyswobodzić się z pod wpływów ambitnych jednostek i jedynie dbać o dobro swych członków... Gazety winny być doradcami Związku, a redaktorowie winni nie narzucać się Związkowi jako jego zbawcy, a tem mniej mają prawa podbijać sobie Związku dla swej osobistej polityki.

„Katolik" stracił przez upadek pp. Kalusa i Królika ostatnią swą pozycyę jako samodzielny organizator ludowy na Górnym Śląsku, bo w polityce jego rola dyktatorska już dawno się skończyła. Teraz przyszła kolej na jego wpływy w organizacyi robotniczej. I dobrze, że się tak stało. Teraz nareszcie będziemy mogli wszyscy razem radzić nad dobrem sprawy Związkowej i mamy nadzieję, że sprawa popłynie nowem korytem nie na korzyść gazeciarzy, lecz dla dobra ogółu.

„Tak tedy stanęliśmy na Górnym Śląsku, na tym punkcie, na którym powinno stać każde moralnie rozwijające się społeczeństwo. Nie jeden człowiek, nie jedna gazeta ma rozstrzygać o losie społeczeństwa, lecz wszyscy razem".

W rubryce „Z niwy politycznej" zajmujemy się „Wiarusem Polskim," który za swe główne zadanie programowe uważa: walenie w „szlachtę" i „panów poznańskich." Zwróciwszy uwagę na manię prześladowczą „Wiarusa," z którym „dyskusya jest niemożliwą," poznański *„Orędownik"* wypowiada kilka słusznych uwag zasadniczych. „Orędownik" wychodzi z założenia, że przyszłość narodu naszego w zaborze pruskim złączona jest dziś z ludem, a nie z pozostałą szlachtą.

„Ale ta twarda rzeczywistość — pisze *„Oręd."* dalej — nakłada *obowiązki polityczne na lud*, na tę podwalinę narodu i na pisma ludowe też. Dokładne i mądre rozejrzenie się w tych obowiązkach nie jest łatwą rzeczą ani dla ludu w szerszem znaczeniu tego słowa, ani dla szczerych pism ludowych. Ruch ludowy w dobrem rozumieniu tego słowa, dążyć winien do tego, żeby świadomość łączności narodowej, szerzenia wyrobionych pojęć politycznych, zdolność i gotowość stosowania wypróbowanych środków obrony ekonomicznego i materyalnego bytu, ogarniała coraz szersze masy ludu i żeby przez to całe społeczeństwo mogło pracować i bronić się podług zasady: jeden dla wszystkich, wszyscy dla jednego.

„Ruch ludowy ogarnia coraz szersze koła nie tylko na dół, ale i w górę społeczeństwa. Stósownie do różnicy historycznej i socyalnej poszczególnych dzielnic rozwija się w nich odmiennie, ale wszędzie pracuje w jednym kierunku i celu, żeby z mas ludowych przysporzyć społeczeństwu jak najwięcej obywatelstwa. Podkład socyalny dla ruchu ludowego jest najrówniejszy na Śląsku, już nie tak gładki w Prusach Zach., a w Wielkopolsce najnierówniejszy, bo tu społeczeństwo polskie w swych warstwach stosunkowo najmniej uległo rozsadzającemu naporowi niemczyzny. Tłoczą się więc tu ku ruchowi ludowemu rozmaite żywioły, nie tylko sama szlachta postępowa, żywioły nieraz wątpliwej wartości. Już dziś znać ich oddziaływanie na ruch ludowy, ogarniający całe społeczeństwo. Te żywioły niepewnej wartości mogą się z czasem rozroić i wprowadzić *moralną zgniliznę* w ogólny ruch ludowy. Ruch ludowy nie ma przecie żadnego przywileju na to, żeby go się moralna zgnilizna nie czepiła, owszem jest wystawiony na wielką pokusę, że łatwo przy braku kontroli będzie i fałszywe poglądy propagował — w imię obrony bytu narodowego. Żeby przed tem zasłonić masy ludowe, wyrabiające w sobie obywatelskość narodową, potrzebna jest rzetelna prasa ludowa, która każdą sprawę sumiennie bada i ułatwia masom ludowym szerzenie wyrobionych pojęć i poglądów".

„Orędownik" wypowiedział świętą prawdę. Hasła narodowego ruchu ludowego stają się dziś w pewnych kołach płytkich polityków o lichym charakterze politycznym — kwestyą mody lub interesu. Dla tego winni obywatele o szlachetnem sercu i rzetelnej myśli politycznej stać na straży narodowego ruchu ludowego, bronić jego poziomu etycznego i śmiało demaskować demagogów, którzy sprawę publiczną utożsamiają ze sprawą swojej kieszeni.

„Gazeta Polska," która stale pracowała nad pogłębieniem myśli politycznej w społeczeństwie zaboru rosyjskiego, nie kontentując się rolą kuryerków, pisze, co następuje:

„Gazety warszawskie są w kłopocie, jak nazwać dumę, czy z europejską parlamentem, czy sejmem, czy izbą posłów, czy radą. Najstósowniej będzie pozostać przy nazwie duma. Choć duma będzie miała wiele wspólnych rzeczy z europejskiemi parlamentami i sejmami, będzie ona miała jednak wiele osobnych swoich właściwości, których sejmy innych narodów nie mają, będzie naprawdę rosyjską dumą; więc najlepiej przy tej nazwie pozostać.

„Różnica z sejmami zachodniej Europy polega na tem, że Duma nie przychodzi jako wyraz zasadniczej zmiany ustroju państwowego. Przychodzi ona jako jedna więcej instytucya w ustroju dawnym, który całkowicie pozostał w swej mocy. W Dumie nie nastąpiło ani przekształcenie zasadniczych ustaw państwa, ani nawet przekształcenie, czy odwołanie jakichkolwiek praw czy przepisów. Rękojmie wolności osobistej pozostają takie same jak były; rękojmie swobody słowa, zebrań, stowarzyszeń również. Nowoutworzona Duma, może się z biegiem czasu sama przyczynić do tego. Ale to dopiero może się stać w przyszłości.

„Dodać trzeba jednak, że znaczenie i doniosłość tej nowej instytucyi nie zależy bynajmniej od tego, czy się ona mniej lub więcej różni od pokrewnych instytucyi w państwach konstytucyjnych. Trzeba tutaj przykładać inną miarę. Trzeba pytać, czy otwiera i ułatwia ona drogę do postępu. Odpowiedź na to pytanie może być tylko twierdząca. Przedewszystkiem, przez dumę wchodzi na widownię prawodawczą głos ludu, który wybiera jej członków. Będzie to z jednej strony głos kontroli, z drugiej, głos potrze-

bnych ustaw. Jakiekolwiek są w tej chwili formy kontroli, mniejsza o to. Najwyższy manifest o dumie przewiduje i wyraźnie zapowiada możliwość udoskonaleń w ustroju dumy. I to jest ważne.

„Układ państwowy pozostał, jakim był; ale dokonany został wyłom w starej zasadzie opieki administracyjnej nad ludnością. Dotąd hasłem rządów było: „dla was, ale bez was“; odtąd już nie będzie „bez was“. Odtąd społeczność będzie miała swój także głos, nie jako wieczorna publika, lecz jako dojrzały i świadomy swoich potrzeb czynnik. Jaką rolę będzie ten czynnik odgrywał w rzeczywistości, to już jest zagadka dni przyszłych, którą dziś rozwiązywać byłoby przedwczesnie“.

Tyle „Gazeta Polska.“ Trzeba oczywiście umieć czytać między wierszami. *P . . . x.*

Głosy od Przyjaciół.

Krotoszyn, 23-go sierpnia.

Wieś rycerską Targoszyce pod Kobylinem w powiecie Koźmińskim, około 1500 mórg najprzedniejszej ziemi włącznie przeszło 100 mórg znakomitych nawodnionych łąk, majętność pięknie odbudowaną z okazałym dworem w ślicznym parku, dotychczasową własność *p. Seweryna Chełkowskiego — nabył mocą kupna Dom bankowy Drwęski i Langner w Poznaniu.* Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

Targoszyce z świetną wydrenowaną ziemią, w wysokiej kulturze, z gospodarstwem bardzo zasobnem, uchodzą za jeden z najlepszych majątków tutejszej okolicy. To też nie brakło naparcia z różnych podejrzanych stron, przy znacznie wyższej cenie; p. Chełkowski wolał atoli sprzedać za niższą cenę, byle majątku nie zaprzepaścić.

Targoszyce będą parcelowane pomiędzy licznych sąsiednich polskich gospodarzy, lub też zostaną sprzedane w całości, lecz tylko rodakowi, który da tak moralną jak i materyalną gwarancyą, że majątek kupuje dla siebie.

X.

Nakło, w sierpniu 1905.

Szanowny Panie Redaktorze!

Udzielając dawniej miejsca w Twem szanownem piśmie mym korespondencyom, w których trzeba było ganić wady mych współobywateli — nie odmówisz mi zapewne i dzisiaj, Szan. Panie Redaktorze, gościnności, gdy nadarza się sposobność pochwalenia czegoś.

Słusznem było moje przypuszczenie, iż zwrócenie uwagi w *„Pracy“* na wady narodowe kochanych Nakielan dodatni wywrze skutek. Wiele rzeczy zmieniło się na korzyść. Nie mam zamiaru wyliczać każdej poprawy z osobna, podzielę się tylko ważniejszemi w ostatnich czasach wypadkami.

Kilka tygodni temu uraczyło nas Towarzystwo śpiewu „Harmonia“ pierwszym koncertem. Istnieje frazes, że amatorów się nie krytykuje, ale doprawdy, w tym przypadku możnaby śmiało krytykować, tak śpiewy znakomicie się udały; to też zachwyceni słuchacze z zapałem dziękowali hucznemi oklaskami wykonawcom poszczególnych produkcyi. Szczególne podziękowanie należy się czcigodnemu ks. Stankowskiemu z Potulic, który objąwszy prezesostwo w „Harmonii“, zmienił od razu dotychczasowy jej kierunek.

Dnia 13 bm. mieliśmy sposobność być uczestnikami zabawy, o ile wiem, pierwszej w tym rodzaju w Księstwie. Otóż czcigodny ks. Stankowski z Potulic młody kapłan, okazujący swoją miłość dla ludu czynami, zajmuje się gorliwie ludźmi dominialnymi, zgromadza ich w niedzielę po południu do wspólnej zabawy, uczy rozmaitych gier i przedewszystkiem śpiewu.

W dniu wyżej wzmiankowanym urządził zabawę latową dla swych pupilów, na którą zaprosił także sąsiadów z okolicy. Publiczność z Nakła stawiła się nader licznie. A było na co patrzeć i czego słuchać i podziwiać. Rozmaite gry o premie dla wiejskich dziewcząt i parobków, pod komendą samego ks. St. odbywające się wyścigi w miechach dla dzieci trzymały uwagę na uwięzi. Prześliczne były śpiewy. Kto sam nie słyszał, gotów nie uwierzyć, jak pięknie śpiewy chórowe na głosy nasze Wojtki i Kasie wykonywać potrafią. Członkowie „Harmonii“ wykonali także kilka pieśni, a ochocze tańce łączyły wiejską i miejską młodzież do późnego wieczora, uświetnionego odpaleniem sztucznych ogni. — Uznanie i szczere podziękowanie pozwalam sobie wyrazić czcigodnemu ks. Stankowskiemu za mile spędzone chwile. Szczęść mu Panie Boże w dalszej pracy!

Notabene zabawa miała opiekunów w postaci aż dwóch żandarmów.

Pałuczanin.

Z Biura „Straży“ następujący otrzymujemy komunikat:

1) Coraz liczniejsze zachodzą przypadki, że urzędnicy stanu wbrew przepisom i uchwale parlamentu niemieckiego, spowodowanej dzięki staraniom i mowie posła naszego dra Z. Dziembowskiego, wzbraniają się zapisywać imiona żeńskie z końcówką *„a.“* Osobom, które zgłaszały się do Biura „Straży“ z prośbą o radę, i które na podstawie tejże wzbraniały się podpisywać nasznicone im zgłoszenia, urzędnicy oświadczyli przy ponownem żądaniu zmienienia pisowni, że czynią dla nich wyjątek i poprawnie imiona zapisywali.

Zwracamy więc uwagę publiczności, aby nie dawała się zastraszyć groźną miną pana urzędnika, aby protokółu nieformalnego nie podpisywała, ale dopominała się swych zagwarantowanych praw i stanowczo zapisania *żeńskiej* końcówki żądała. Ewentualny wynikły ztąd proces „Straż“ członkom swym przeprowadza bezpłatnie.

Co do imion zaś to obowięzuje przepis, że za niemieckiem brzmieniem imienia winien urzędnik na żądanie zapisać właściwe polskie: Stanislaus (Stanisław).

* * *

2) Biuro „Straży“ może wskazać miejsca dla osiedlenia się w polskiej okolicy 2-ch lekarzy, adwokata, ogrodnika, powroźnika i bławatnika, szuka zaś posad dla przewodniczącego biura adwokackiego, dla młodego i starszego urzędnika bankowego.

* * *

3) Na wiecu ludowym w Herne w Westfalii w dniu 20-go sierpnia 1905 roku przyjęto jednomyślnie następującą rezolucyę:

I. Zarząd Związku Polaków wzywamy, aby zajął się energicznie organizacyą rodaków na obczyźnie.

II. Zarząd Towarzystwa „Straż“ natomiast prosimy, aby niezwłocznie porozumiał się ze Związkiem Polaków w celu jednolitej obrony naszych zagrożonych dóbr narodowych, jako to języka i obyczajów.

III. Ufamy też najmocniej, że Związek Polaków w Westfalii i Nadrenii szczerze popierać będzie dążenia i cele Towarzystwa „Straż“ ku lepszemu rozwojowi polskości i narodu naszego.

W imieniu wiecowników

Biuro wiecowe.

Franc. Bartkowiak, przewodniczący. *Stan. Halas,* zastępca przewod.

Władysław Marcinkowski, sekretarz.

Biuro „Straży.“

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Niema drożyzny mięsa.

„Nie ma drożyzny mięsa! — pisze katowicki *„Polak"* — tak zawyrokowali junkrowie w Berlinie. Zebrali się tamże pod przewodnictwem ministra rolnictwa Podbielskiego prezesowie i sekretarze jeneralni izb rolniczych, rozwiązywać rzekomą zagadkę, czy jest drożyzna mięsa lub nie. Dla junkrów sprawa ta jest zagadką, chociaż dla wszystkich innych ludzi jest to rzecz jasna jak słońce.

Gdyby rząd pruski opiekował się wszystkimi obywatelami zarówno, gdyby nie wysługiwał się jedynie i wyłącznie junkrom, to pan Podbielski był powinien przyjechać do nas na Górny Śląsk, tu bylibyśmy dla niego zwołali kilka wieców, na których by lud wypowiedział swoje zdanie a pan Podbielski od razu byłby się dowiedział z pierwszego niezamąconego źródła, czy jest bieda lub nie.

Ale pan Podbielski nie zasięga języka u tych, co cierpią biedę i wołają głośno o pomoc i zmiłowanie, lecz radzi z tymi, co na biedzie ludu zarabiają miliony i stwierdza, że biedy niema a stwierdza to w półtoragodzinnej mowie podczas sutego obiadu. Wierzymy bardzo chętnie, że p. P. oraz prezesowie i sekretarze generalni izb rolniczych jedzący smaczny i suty obiad w pierwszorzędnym hotelu berlińskim, nie mają pojęcia, co to jest bieda.

Popijając dobry gatunek szampana p. Podbielski otworzył swe serce junkierskie z wrodzoną mu szczerością. Jego zdaniem krzyki o drożyźnie mięsa są tylko obliczone na to, aby poróżnić rolnictwo z przemysłem, aby wywołać wrażenie, iż rolnicy są wrogami robotników. W rzeczywistości bowiem bogactwo bydła i nierogacizny w ostatnim czasie ogromnie wzrosło w granicach państwa niemieckiego, a że ceny na płody rolnicze się podniosły, z tego cieszyć się trzeba. Krzyki nad biedą i drożyzną mogą tylko rolnictwu zaszkodzić, bo wiele ludzi pomyśli sobie, iż teraz na rolnictwie i hodowaniu bydła i nierogacizny wiele można zarobić pieniędzy i dlatego rzucą sę do tego zajęcia. Wskutek tego ilość płodów znów się powiększy, ceny spadną a agraryuszom zmniejszą się zarobki.

Najlepiej zarabiają zawsze rzeźnicy, tak twierdzi p. Podbielski, bo oni swój zarobek zawsze biorą, doliczając go do każdego funta sprzedanego mięsa. Wogóle mięsa wcale nie brak, bo na targi berlińskie spędzają obecnie więcej bydła i wieprzy niż dawniej. Dlatego nie można krzyczeć, że jest brak mięsa, że rolnicy niemieccy nie są w stanie zaopatrzyć w mięso całej ludności państwa.

Rzecz ma się przeciwnie, bo mięsa wołowego i wieprzowego jest zadość. Granicy rosyjskiej i austryackiej otworzyć nie można, bo tak w Rosyi jak w Austryi panują zarazy bydła, a p. minister nie może narazić całego bogactwa w bydle i nierogaciźnie rolników niemieckich na niebezpieczeństwo przez otwarcie granic. Tak opowiadał pan Podbielski.

Nie warto się dalej rozpisywać o wynurzeniach p. Podbielskiego. Nie powiedział nic nowego, bo wszystkie jego wywody są tylko powtarzaniem rozumowań junkierskich dokładnie każdemu znanych. Wynika z nich znów rzecz jedna, że w Prusiech rządzi agraryusz i junkier, a rządzi tak, by miał zarobki wielkie i zyski coraz większe.

Co tam agraryuszów obchodzi bieda ludu pracującego. Oni mogą zajadać smaczne obiady, bo czem bieda ludu większa, tem większe mają dochody.

A panowie pracodawcy wnoszą także rzekome petycye, by rząd otworzył granice, ale cieszą się z biedy robotników. bo i oni mają z niej zyski. Zarobków pod żadnym warunkiem poprawić nie chcą. Wskutek panującej drożyzny robotnik, by się wyżywić, musi harować od świtu do nocy, więcej pracować, a przytem pokornie znosić wszelkie prześladowania z obawy przed wydaleniem z pracy.

Pomiędzy junkrami wielka panuje radość wskutek mowy p. Podbielskiego, w którym mają dzielnego opiekuna i pomocnika."

Z ruchu ekonomiczno-społecznego.

W sprawozdaniu rocznem chwali się spółka niemiecka (Kaufhausgenossenschaft) w Janówcu bardzo korzystnym stanem interesów, przyznając zasługę w tem szczególnie polskim obywatelom miejskim i wiejskim, którzy na wyścigi z kolonistami „popierają niemieckość." Co to ma znaczyć?

* * *

Ważne dla robotników. Minister dla robót publicznych wydał rozporządzenie bardzo ważne dla robotników. Dotychczas działo się tak, że gdy robotnik musiał iść na sąd jako świadek lub znawca, to za ten czas, w którym był na sądzie, pracodawca mu nie płacił. Teraz pracodawcy muszą płacić robotnikom zarobek i za ten czas, przez który koniecznie muszą być na sądzie. Wolno atoli pracodawcy potrącić sobie tyle, ile robotnik otrzymał z kasy sądowej świadkowego.

Z Kółek rolniczych.

Walnę zebranie Kółek rolniczych na powiat kościańsko-śmigielski odbyło się w niedzielę dnia 16 lipca r. b. w Kościanie o godz. 4 i pół po południu w hotelu Victoria. Pierwszy odczyt miał gosp. p. Tomasz Szczepaniak z Darnowa „O pszczelnictwie." Drugi z rzędu nader pouczający referat „O nabywaniu i używaniu sztucznych nawozów" wygłosił p. Chłapowski z Goździchowa, prezes Kółka kamienieckiego. Trzecim prelegentem był gospodarz p. Wojciak ze Słonina, który mówił na temat „O wymiarze". Po każdym z trzech powyższych referatów, wywiązywały się ożywione dyskusye. W końcu wicepatron p. Raszewski, szczególnie polecał i zachęcał pp. gospodarzom, aby zabezpieczali się od ognia i gradu w Towarzystwie Magdeburskiem lub północno-niemieckiem, aby nabywali zdrowe i dobre ziarno do siewu; również radził, aby gospodarze zwiedzali pola stacyi doświadczalnej w Pętkowie pod Środą.

* * *

Walne Zebranie Kółek rolniczych wicepatronatu czarnkowskiego i wieluńskiego odbyło się w niedzielę d. 18 czerwca na sali p. Łaszewskiego w Czarnkowie, na którem odczytał p Kujawka z Dembego swoją pracę „O melioracyi łąk." Wywiązała się bardzo obszerna dyskusya. Nastąpił wykład p. Sulerzyskiego pod tytułem: „Jakie korzyści osięgnąć może gospodarz z roli i bydła przy dostatku paszy". Ponieważ p. weterynarz Nagler z powodu koniecznego wyjazdu nie miał swego odczytu, odczytał p. Ign. Ślęga z Polajewa pracę swoją: „O pszczelnictwie". Prelegent opisał w bardzo jasny i dokładny sposób założenie pasieki, obchodzenie się z rojami, rozmnażanie i leczenie chorób pszczół.

Pan Patron pochwalając tak świetny wykład, zabrał manuskrypt tegoż, również manuskrypt pierwszego odczytu p. Kujawki, aby kazać je drukować i pomiędzy innemi Kółkami rozpowszechnić.

DZIAŁ KOBIECY.

Gospodarstwo domowe.

Ministrowie francuzcy, oświecenia i handlu, po wzajemnem porozumieniu się, wydelegowali założyciela najnowszej szkoły gospodarstwa domowego w Paryżu, Karola Drissena, do Anglii dla zbadania tamtejszych szkół tegoż rodzaju. Powróciwszy z podróży, p. Drissen przedstawił ministrom sprawozdanie, w którem stara się zwrócić ich uwagę na udoskonalenie szkół gospodarstwa domowego w Anglii. Inicyatywę w tej sprawie dały w Anglii osoby prywatne, ale od początku swej działalności korzystały z gorącego poparcia całego wykształconego społeczeństwa, przedstawicieli świata arystokratycznego i finansowego, a głównie z opieki władz. Drissen notuje niezmiernie ciekawe szczegóły o sposobie wykładania nauki gospodarstwa domowego i gotowania, oraz cenne uwagi o znaczeniu i potrzebie takich szkół.

Pierwsza szkoła gospodarstwa domowego i gotowania powstała w Londynie r. 1872 staraniem grona osób i przy udziale księcia Westminsterskiego. Zasługą tej szkoły było rozpowszechnienie w społeczeństwie przekonania, iż kucharstwo jest nauką poważną, pozostającą w związku, ze sztuką, której rozwój przyczynia się do podniesienia dobrobytu. Od pierwszej chwili swego powstania szkoła wytrwale dążyła w kierunku raz obranym i dążenie to nie osłabło ani na chwilę w czasach ostatnich. Tem tłumaczą się wielkie usługi, jakie oddała państwu i społeczeństwu. Szkoła co rok rozsyła setki nauczycieli i nauczycielek do rozmaitych posiadłości Anglii i obecnie już w wielu okolicach państwa pozakładano podobne szkoły, pracujące z wielkim dla społeczeństwa pożytkiem. Komisye naukowe wielu większych miast powzięły decyzyę, iż wykłady nauki kucharstwa w zakładach naukowych mają prowadzić tylko uczniowie i uczennice pierwszej szkoły normalnej, posiadający odpowiednie świadectwa. W samym Londynie pod nadzorem rady pierwszej szkoły normalnej gospodarstwa domowego pozostaje czterech inspektorów, 105 dyplomowanych nauczycielek i 21 pomocnic, które zajmują się nauczaniem 25,000 dziewczynek w wieku szkolnym. Dziś istniejąca w Londynie komisya w celu organizowania wieczornych zajęć naukowych postanowiła włączyć do swego programu kurs nauki kucharstwa i gospodarstwa domowego. Myśl ta, wprowadzona w czyn względnie niedawno, przyjętą została bardzo przychylnie przez społeczeństwo angielskie, które w ostatnich czasach zainteresowało się gorąco nauką zajęć, wchodzących do zakresu gospodarstwa domowego.

Oddając sprawiedliwość rezultatom, osiągniętym przez pierwszą angielską szkołę gospodarstwa domowego, i przez inne, założone według tego samego wzoru, Drissen utrzymuje jednak, iż wykłady w nich prowadzone są bez odpowiedniego systemu i planu. Nie małą szkodę — jego zdaniem — przynosi ta okoliczność, że w organizacyi szkół biorą udział członkowie rozmaitych wrogich sobie towarzystw i partyi. Ale jakiekolwiek uwagi praktyczne mogłaby ta sprawa nasuwać w Anglii, trzeba przyznać, iż stworzono mocne podstawy dla niej, zapewniając rozwój w przyszłości. Dzięki opiece sfer rządowych i zgodnej pracy osób wykształconych, z pożytku szkoły najwięcej korzystają klasy ludności potrzebujące tego.

„Nie mogłem wyjść ze zdziwienia — pisze p. Drissen — kiedy patrzyłem, z jakim zapałem młode dziewczynki współzawodniczą z sobą w pracy. Mimo to dostrzegłem, iż we wszystkiem tem brakowało dobrze pomyślanego systemu i ścisłych przepisów. Wiele młodych panien wyobraża sobie dotąd, iż wystarcza wyjść za mąż, a wtedy instynktownie nabywa się umiejętności gospodarstwa domowego. Uniknąć takich fałszywych pojęć można tylko wprowadzając naukę gospodarstwa domowego do programu wszystkich średnich zakładów naukowych dla kobiet.“

Dziś niemniejszą sztuką od zarabiania pieniędzy jest umiejętność wydawania ich w sposób, przynoszący najwięcej pożytku. Sporządzić z najzwyczajniejszych produktów pożywienie posilne, smaczne i zdrowe — oto umiejętność, niezbędna dla młodych dziewcząt. W kraju, posiadającym taki olbrzymi budżet wojenny, jak Francya, gospodarstwo domowe posiada znaczenie równe rolnictwu. „A jednak u nas — pisze p. Drissen — mnóstwo towarzystw rolniczych, wydaje znaczne sumy na premie i medale podczas gdy dla gospodarstwa domowego nie robi się prawie nic. Wszak dobra kuchnia jest jedną z podstaw życia rodzinnego. Gospodarstwo domowe to sztuka subtelna, związana z kwestyą gustu i rozwojem umysłowym.

„Nie można chwalić tych gospodyń, które, trzymając liczną służbę, stale siedzą w kuchni. Trzeba jednak, iżby tam zaglądały od czasu do czasu i widziały, co się dzieje. Jeszcze większe znaczenie ma umiejętność gospodarstwa domowego dla dziewcząt, zmuszonych zarabiać na chleb.

Są pewne obowiązki — pisze na zakończenie swego sprawozdania p. Drissen, — które przypadają w udziale kobietom i trudno pojąć, jakim sposobem nawet narody, które osiągnęły wyższy stopień cywilizacyi, tak mało do tej pory troszczyły się i troszczą o przygotowanie i zachęcenie kobiety do pełnienia tych obowiązków. Wychowanie zdrowych, zahartowanych, przedsiębiorczych dzieci stanowi przyrodzony obowiązek kobiety, a jednocześnie największą usługę, jaką człowiek może oddać swej rodzinie. Dlatego też rozwój w kobiecie myśli, umiejętności i cnót niezbędnych do spełnienia tego wszystkiego w życiu jest kwestyą wagi ogólnopaństwowej i wymaga pilnej opieki zarówno ze strony sfer rządzących, jak i całego społeczeństwa.

Piękny zwyczaj.

Jama ustna wogóle, a w szczególności zęby najsilniej są zaniedbane pod względem hygienicznym u znacznej liczby ludzi, ponieważ nie weszło u nas w zwyczaj przyzwyczajanie dzieci do należytego utrzymywania w czystości tych najważniejszych niemal części organizmu.

Spotykamy wiele matek nawet dość często kąpiących swe dzieci i zmuszających je do starannego i częstego mycia się, a jednak te same matki zapominają o zaleceniu częstego mycia zębów i płukania ust.

Do inteligencyi przemawiają pisma i hygieniści z katedr, pouczając o konieczności przedsięebrania zabiegów, mających na celu ochronę zdrowia; trudniejsza sprawa z ludem. Zasługującym też na uwagę jest piękny zwyczaj od niedawna w niektórych zakładach dobroczynnych wprowadzony, rozdawania ubogim dzieciom szczoteczek do zębów i palców. Dziecko przyzwyczajone od wczesnej młodości, napewno nie zaniecha i w wieku późniejszym tego zabiegu, który mu zapewnia ochronę od bólu zębów i przedwczesnego ich zniszczenia.

Zwracamy uwagę matkom na ten zwyczaj w celu jak najszerszego stosowania go wpośród dziatwy.

Rozmaitości.

„Wielkie rzeczy — zupełnie źle.“ Pewien oficer rosyjski pisze w „Nasz. Żizni:“ Uderzyła nas następująca okoliczność:

Póki walczyły nasze drobne oddziały z mniejszymi oddziałami Japończyków, zawsze przewaga okazuje się po naszej stronie.

Jeśli się zetrą roty — zwyciężamy.

Bataliony — następuje nierozegrana.

Pułki — cofamy się wczas.

Dywizye — cofamy się po niewczasie.

Korpusy — zamęt.

Armie — chaos.

Czy nie znaczy to, że mali ludzie robią u nas małe rzeczy nieźle, wielkie — zupełnie źle.

Brak przygotowania, nieśmiałość, papierowy stosunek do swoich obowiązków ze strony dowódców — oto gdzie, zdaniem naszem kryje się przyczyna naszych ogromnych porażek.

* * *

Wielki książę złodziej. Wielki książę Mikołaj Konstantynowicz, który od lat dwudziestu wydalony był z Petersburga za kradzież brylantów u damy paryzkiego półświatka, został teraz zesłany na rozkaz cara do Stawropolu na Kaukazie, dokąd przybył onegdaj pod eskortą oddziału żandarmeryi, dowodzonej przez pułkownika.

Wielki książę zamieszkał w umyślnie dla niego urządzonym pałacu i będzie dniem i nocą pod strażą żandarmów. Korespondencya jego przechodzić będzie przez ręce pułkownika, samemu zaś nie będzie wolno opuścić pałacu aż do śmierci. Podobno wielki książę dostał wskutek brutalnego obchodzenia się z nim żandarmów obłędu.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Człowiek niewidzialny.

Przekład z angielskiego.

7

(Ciąg dalszy).

P. Bnating stał przy oknie, usiłując okryć się jakkolwiek dywanikiem z przed kominka i numerem dziennika *„West Surrey“*.

— Kto wraca? — zapytał, tak wystraszony, że jego improwizowane okrycie o mało nie rozleciało się.

— Niewidzialny człowiek! — wołał Cuss i rzucił się do okna — wynieśmy się lepiej ztąd, — on bije jak waryat! waryat!

W jednej chwili był już na podwórzu.

— Welki Boże! — zawołał p. Banting, wahając się pomiędzy dwiema równie okropnemi ewentualnościami. Wtem usłyszał gwałtowne szamotanie się w sieni i zdecydował się w jednej chwili. Wylazł oknem, poprawił, o ile możności, swe skąpe okrycie i zmykał do domu tak prędko, jak tylko chciały go nieść jego tłuste, krótkie nogi.

* * *

Od chwili, w której niewidzialny człowiek zaryczał z gniewu, a proboszcz wykonał swą historyczną rejteradę, niepodobno już opisać, co się działo w Iping. Prawdopodobnie zamiarem pierwotnym niewidzialnego było tylko zakryć ucieczkę Marvela z sukniami i książkami. Ale jego żółć, której zawsze miał dosyć, została gwałtownie poruszona przez jakieś przypadkowe uderzenie, zaczął tedy walić i rozbijać wszystkich z gniewu.

Proszę wyobrazić sobie ulicę, zapełnioną biegnącemi postaciami, drzwi, zamykające się pospiesznie, ludzi walczących o chwilowe schronienie; Fletchera; wywróconego ze swem improwizowanem rusztowaniem i cebrzykiem rozrobionego wapna; parę jakąś wystraszoną, która uwięzła w otworze huśtawki; — ziemię, zasłaną porozrywanemi chorągwiami, orzechami kokosowymi i towarami słodkimi z wywróconego straganu przekupnia z cukierkami. — Wszędzie odgłos zamykanych okiennic i zasuwanych rygłów, a tylko gdzieniegdzie oko ludzkie, wyglądające trwożliwie kącikiem okna.

Niewidzialny potłukł wszystkie szyby w oknach „Białego konia“ i on to zapewne przeciął drut telegraficzny na drodze do Adderdean. Ale potem! Ale potem usunął się już zupełnie i nie tylko nie widziano go już w Iping, ale nie słyszano jego głosu i nie odczuwano jego silnej pięści.

Lecz przeszło dwie godziny minęły, nim jaka ludzka istota odważyła się wychylić na opustoszałą ulicę w Iping.

ROZDZIAŁ XIII.

Marvel niezadowolony.

Podczas kiedy mrok zapadał i ludzie w Iping zaczęli lękliwie wytykać głowy z domów i oglądać ruiny swego popsutego święta, mały, przysadkowaty człowiek w połamanym kapeluszu, szedł mozolnie drogą za lasem, prowadzącą do Bramblehurst. Niósł on trzy książki, związane jakąś haftowaną elastyczną wstęgą i zawiniątko w niebieskiej serwecie. Jego czerwona twarz wyrażała przestrach i zmęczenie, chód był nierówny. Towarzyszył mu głos, który nie był jego głosem, a kiedy niekiedy człowiek ów wzdrygnął się, pod dotknięciem niewidzialnych rąk.

— Jeżeli sppróbujesz znowu uciec mi — mówił głos — jeżeli poważysz się tego spróbować...

— O Boże! — zawołał Marvel — moje ramię już jest sine od jegomościnych rąk.

— Słowo daję — mówił głos — że zabiję cię, jak psa!

— Ja nie próbowałem wcale uciec — mówił Marvel płaczliwym głosem — przysięgam jegomości, że nie. Nie wiedziałem tylko, że trzeba było iść na prawo. Jakże u licha ja mogłem wiedzieć, że to było na prawo. A tak jestem cały zbity...

— Będziesz ty jeszcze gorzej zbity, jeżeli nie będziesz słuchał — odrzekł głos. Żebrak ucichł nagle, a oczy jego wymownie wyrażały rozpacz.

— Dosyć złego, że te bałwany wiejskie odkryły mój sekret, a jeszcze ty chciałeś uciec z mojemi książkami? No, ale dobrze dla tych gałganów, że uciekali tak prędko. Nikt nie wiedział, że jestem niewidzialny, a teraz co robić? — co mam robić?

— A cóż dopiero ja! — po cichu szepnął Marvel.

— To się rozgłosi! Opiszą to w dziennikach! Wszędzie będą wiedzieli o mnie. I będą się strzegli...

Tu głos urwał i zaczął kląć w najwymyślniejszy sposób. Twarz żebraka przybrała wyraz jeszcze większej rozpaczy, a jego krok zwolnił się.

— Idź prędzej — ozwał się znów głos.

Twarz Marvela, pokryta czerwonemi plamami, zrobiła się popielata.

— Nie upuść tych książek — mówił głos gniewnie — fakt jest, że muszę cię użyć, choć jesteś taki głupi, muszę, nie mam wyboru.

— Ja jestem głupi? — odrzekł pokornie żebrak.

— Jesteś — odparł głos.

— Jestem nie dobry pomocnik dla jegomości? — ciągnął dalej Marvel.

— Wcale nie jestem silny — mówił znowu po onieśmielającem milczeniu. — I moje serce jest słabe. Ta historya w Iping! zrobiłem wszystko, co jegomość kazał, ale myślałem, że padnę trupem odrazu...

— Cóż dalej?

— Ja nie mam dosyć siły do takich rzeczy, jakich jegomość chce...

— Już ja cię wzmocnię.

— Proszę lepiej dać temu pokój, mój jegomość. Nie chciałbym popsuć szyków jegomości. Ale mogłoby się zdarzyć, ze samego strachu i słabości.

— Nie powinno się zdarzyć! — rzekł groźnie głos.

— Wolałbym już nie żyć! — lamentował Marvel — jakaż to jest sprawiedliwość. Przecież ja mam prawo...

— Idź prędzej! — upominał głos.

Marvel przyspieszył kroku i przez pewien czas szli w milczeniu.

— To jest wielka krzywda dla mnie — ozwał się znów żebrak, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

— Cóż ja będę miał za to? — przemówił po chwili, próbując nowego sposobu.

— Będziesz ty cicho! — wrzasnął gniewnie głos — już ja się postaram o ciebie. Będziesz robił, co ci każę i basta. Jesteś głupi kiep, ale potrafisz zrobić to, czego ja chcę...

— Powiadam jegomości, że nie potrafię... Z całem uszanowaniem, ale nie potrafię.

— Jeżeli nie zamkniesz gęby, wykręcę ci ramię — rzekł niewidzialny człowiek — potrzebuję się namyślić, a ty mi, ośle, przerywasz twojem bajaniem.

Teraz przez drzewa ukazały się światła i wieża kościoła, wznosząca się nad wioską.

— Będę cię trzymał za ramię, aż przejdziemy przez wieś — mówił głos. — Idź prosto i nie próbuj żadnych figlów, bo będzie źle z tobą.

— Już wiem, wiem! — westchnął Marvel.

Nieszczęśliwie wyglądająca postać w pogiętym kapeluszu, przeszła ze swymi tobołkami przez małą wioskę i znikła w ciemności poza obrębem świateł, które biły z okien.

ROZDZIAŁ XIV.

W Port-Stowe.

O dziewiątej godzinie następnego rana, Marvel, nieumyty, nieogolony, obłocony z podróży, z rękami, zagłębionemi w kieszeniach i miną bardzo zmęczoną i niespokojną, siedział na ławce przed małą gospodą, na przedmieściu Port-Stowe. Przy nim leżały książki, teraz już porządnie związane sznurkiem. Zawiniątko z rzeczami zostało porzucone w lesie sosnowym za Bramblehurst, stosownie do zmienionego planu niewidzialnego. Marvel siedział na

ławce, a choć nikt nie zwracał na niego uwagi, jego niespokojność ciągle wzrastała. Jego ręce szperały ustawicznie w licznych kieszeniach, dziwnymi, kurczowymi ruchami.

Siedział tak może blisko godzinę, gdy niemłody majtek z dziennikami w ręku, wyszedł z gospody i usiadł na ławce obok niego.

— Dzień dobry! — rzekł majtek.

Marvel spojrzał na niego z przestrachem.

— Dzień dobry! — odpowiedział.

— Przyjemne powietrze, jak na tę porę roku... — mówił majtek dalej.

— Bardzo... — mruknął Marvel.

Majtek uważnie przypatrywał się żebrakowi, zbliżając się bowiem do ławki, słyszał jakiś podejrzany odgłos, jakby brzęk pieniędzy, wkładanych do kieszeni. Kontrast pomiędzy wyglądaniem Marvela, a przypuszczeniem, że ma w kieszeni pieniądze, zastanowił go. — Potem zaś myśl jego wróciła do tematu, który wyłącznie w tej chwili zaprzątał jego wyobraźnię.

— Książki? — rzekł nagle.

Marvel drgnął cały.

— A tak — odpowiedział — to są książki.

— W książkach bywają czasem dziwne rzeczy — przemówił majtek.

— Zapewne — przytaknął Marvel.

— A także bardzo dziwne rzeczy bywają w dziennikach; na ten przykład...

— Oczywiście!

— Oto w tym tutaj... — i majtek pokazał dziennik, który trzymał w ręku.

Marvel pobladł.

— Jest tu cała historya — mówił majtek, patrząc na swego sąsiada uważnie — o jakimś niewidzialnym człowieku.

Marvel wykrzywił usta i czuł, że mu uszy poczerwieniały.

— Co też to ludzie wypisują! — rzekł cicho — A gdzież to, u nas, czy w Ameryce?

— Ależ gdzie tam, tutaj... — rzekł majtek.

— Nie może być — zawołał Marvel wystraszony.

— Kiedy mówię tutaj — odpowiedział majtek, na wielką pociechę Marvela — to oczywiście nie myślę w Port-Stowe, ale w tych okolicach.

— Niewidzialny człowiek! — powtórzył Marvel — a cóż on takiego zrobił?

— Czego on raczej nie zrobił — odrzekł majtek, wciąż patrząc na Marvela — zrobił wszystko na świecie.

— Ja już od czterech dni nie widziałem dziennika — rzekł Marvel.

— Pokazał się w Iping — mówił dalej majtek.

— Nie może być — wyjąkał żebrak.

— Tam się zjawił naprzód, ale skąd się tam wziął, tego nikt nie wie. Oto jest: „Nadzwyczajne zdarzenie w Iping.'' I powiada dziennik, że dowody są nadzwyczaj silne.

— Czy podobno? — rzekł Marvel.

— Ależ to jest nadzwyczajna historya. Tamtejszy duchowny i redaktor byli świadkami, widzieli go od stóp do głów, to jest nie widzieli go wcale. Mieszkał on — tak jest tu napisane — w gospodzie „pod białym koniem''; i nikt nie wiedział o jego nieszczęściu, aż przy jakiejś kłótni w gospodzie odpadła mu głowa wraz z bandażami. Tak jest napisane — a potem zobaczono, że jego głowa jest niewidzialna. Usiłowania były zaraz zrobione, ażeby go uwięzić, ale, przez zrzucenie sukien, zdołał umknąć, po rozpaczliwej walce, w której zadał ciężkie obrażenia ciała naszemu zdolnemu i odważnemu konstablowi J. A. Jaffersowi. Tak stoi napisane. Pełne nazwiska i wszystko, czego potrzeba.

— Czy podobna? — powtórzył Marvel, patrząc z obawą na około siebie, a równocześnie usiłując porachować, przez macanie, pieniądze w swych kieszeniach, oraz uporządkować zupełnie nowe i świetne pomysły w swej głowie — to coś tak osobliwego.

— Nieprawdaż? Ja mówię: Nadzwyczajne! Nigdy jeszcze nie słyszałem o czemś podobnem. Niewidzialny człowiek.

— I to wszystko, co zrobił? Czy nie wrócił przypadkiem? — spytał Marvel.

— Czy wam to jeszcze nie dosyć? — rzekł majtek.

— Nie miał on przypadkiem spólników jakich? Nic o tem nie napisano?

— Nie dzięki Bogu, nie miał nikogo. — Majtek pokiwał głową. Bardzo mi się niemiło robi na sercu, — mówił dalej — skoro pomyślę, że ten drab chodzi sobie wolno po okolicy; a po pewnych znakach sądzę, że wędruje w stronę Port-Stowe. Więc to się dzieje koło nas, wcale nie w Ameryce. — A tylko wyobraźcie sobie, co on może zrobić. Może kraść, może rabować, może przejść obok policyantów, którzy go szukają, a nikt go nie zobaczy. Może sobie wziąć rum, koniak, gorzałkę, czego tylko serce zapragnie...

— Prawda, że w tem ma wielką korzyść.. — zauważył Marvel.

— Wielką korzyść! — powtórzył marynarz.

— Przez cały ten czas Marvel patrzył uważnie, na około nadsłuchując, czy nie usłyszy cichego stąpania, lub szmeru niedostrzegalnych ruchów. Zdawało się, że w głowie jego rodzi się jakaś śmiała decyzya: pokaszliwał, zakrywszy usta ręką. Wtem szybko nachyli się do majtka i rzekł po cichu:

— Fakt jest, że ja wiem coś o tym niewidzialnym człowieku. Z prywatnego źródła...

— Jakto — zawołał majtek — czy wiecie?

— Będziecie zdziwieni — szeptał Marvel — to straszna rzecz.

— Mówcie, mówcie!

— Fakt jest — zaczął żebrak swoje zwierzenia po cichu. Nagle wyraz twarzy jego zmienił się.

— Aj! Aj! — zawołał i podniósł się sztywnie na ławce. Jego twarz wyrażała dotkliwe cierpienie.

— Co wam jest? spytał zdziwiony majtek.

— Ból zębów odpowiedział Marvel i schwicił się za ucho, które było bardzo czerwone. Potem wziął książki i rzekłszy: „Muszę już iść'', odsunął się w dziwny sposób od swego towarzysza.

—Ale przecież mieliście mi coś powiedzieć o tym niewidzialnym drabie — upominał się majtek.

— Humbug! — rzekł jakiś głos.

— To tylko humbug — powtórzył Marvel.

— Ale przecież jest napisane w dzienniku — rzekł marynarz.

— Wszystko humbug, zapewniał Marvel — sam znam faceta, który wymyślił to kłamstwo. Żadnego niewidzialnego człowieka niemasz nigdzie, to tylko łgarstwa!

— Ani słowa prawdy niema — zapewniał energicznie Marvel.

— I to w dzienniku nieprawda?

Majtek wytrzeszczył oczy, trzymając swój dziennik w ręce.

— Poczekaj trochę — rzekł, wstając. — Czy chcecie powiedzieć....

— Tak mówię! rzekł Marvel.

— Na cóż więc dałeś mi opowiadać to wszystko? Co ty sobie myślisz, żeby tak durzyć porządnego człowieka?

Marvel nadął policzki. Majtek poczerwieniał i zacisnął pięści.

— Ja tu gadam już od dziesięciu minut, a ty, nędzny włóczęgo, obdartusie, nie masz nawet tyle oleju w głowie...

— Proszę mnie nie przezywać! — zaprotestował Marvel.

— Przezywać! a ci tu zaraz pokażę.

— W drogę — przemówił jakiś głos, a Marvel porwał się z ławki i ruszył z miejsca krokiem niepewnym i przerywanym.

— Masz rozum, że się wynosisz! — wołał za nim rozgniewany majtek. Marvel stawał, a potem znowu szedł prędko, jakby popychany niewidzialną sprężyną, a równocześnie zaczął mówić głośno, niby do siebie jakieś skargi i zapewnienia.

— To jakiś waryat — ozwał się marynarz, który, rozkraczywszy szeroko nogi i wziąwszy się pod boki, patrzył za nim — ja cię tu nauczę brać mnie na humbug; to jest wyraźnie opisane w dzienniku!

Marvel odpowiedział coś niewyraźnego, a majtek tryumfująco stał na środku drogi tak długo, póki nie musiał umknąć się przed nadjeżdżającym wozem rzeźnika. Potem zawrócił się do miasta.

— Kompletny waryat — mówił po cichu do siebie — chciał mnie oczywiście wziąć na kawał... To jest przecież w dzienniku!

W Port-Stowe jednak usłyszał inną nadzwyczajną historyę, która tak blizko niego się wydarzyła. Oto jakiś kolega majtek widział „całą garść'' pieniędzy, wędrującą

przez powietrze wzdłuż muru, na ulicy św. Michała. Chciał oczywiście schwycić owe latające pieniądze i dostał kułaka w twarz, tak, że się wywrócił, a gdy podniósł się, owego motyla pieniężnego już nie było. Nasz marynarz był wprawdzie usposobiony do wierzenia we wszystko, tego jednak było mu już za wiele. Później jednakowoż, namyślając się, przyszedł do innego przekonania.

Historya o latających pieniądzach była prawdziwa. We wszystkich ulicach Port-Stowe, nawet w poważnym londyńskim i prowincyonalnym banku, we wszystkich kasach i szufladkach sklepów (drzwi przy ciepłem, wiosennem powietrzu stały otworem) pieniądze dostawały skrzydeł w tym dniu i ulatniały się garściami i rulonami, wzdłuż murów i cienistych ulic, umykając szybko przed zbliżającymi się ludźmi. A ich tajemnicza ucieczka kończyła się zawsze — aczkolwiek nikt tego nie zauważył — w kieszeniach obdartego człowieka w pogiętym kapeluszu, który siedział na ławce przed szynkownią, na przedmieściu Port-Stowe.

W dziesięć dni później, kiedy wypadki w Burdock były już powszechnie znane, nasz majtek zestawił te wszystkie fakta i dopiero zrozumiał, jak blizko on sam znajdował się „niewidzialnego.“

ROZDZIAŁ XV.

Człowiek, który uciekał.

Wczesnym wieczorem dr. Kemp siedział w swojej bibliotece, w belwederze, położonym na wzgórku, który górował nad miastem Burdock.

Był to niewielki, przyjemny pokoik z trzema oknami na północ, zachód i południe, z półkami, pełnemi książek i naukowych publikacyi; pod północnem oknem mikroskop, różne naukowe instrumenta, tu i ówdzie rozrzucone flaszeczki i słoiki. Lampa dr. Kempa była już zapalona, choć niebo było jeszcze jasne od czerwonych promieni zachodzącego słońca, a rolety były podniesione, gdyż nie było niebezpieczeństwa, aby ktoś niedyskretny mógł zajrzeć do okien. Dr. Kemp był to wysoki i smukły młodzieniec, z włosami lnianego koloru, a wąsem prawie białym — a praca, nad którą ślęczał, miała go zrobić członkiem uczonego „Royal Society“ — tak przynajmniej spodziewał się.

Oko jego oderwało się od zapisanych kartek i spoczęło na słońcu, skrywającem się właśnie za pagórkiem. Przez chwilę siedział nieruchomy z piórem w ustach, podziwiając piękne bogate barwy, złocące wierzchołek pagórka, gdy wtem zwrócił jego uwagę jakiś człowiek, rysujący się czarno na tem tle; człowiek ten biegł przez pagórek w jego stronę. Był on nizkiego wzrostu, w wysokim kapeluszu i biegł tak prędko, że nogi mu się tylko migały.

— Jeszcze jakiś z tych osłów — rzekł do siebie dr. Kemp. — Zupełnie tak samo, jak ów osioł, który rano wpadł na mnie koło rogu ulicy ze słowami: „Niewidzialny człowiek przychodzi, panie!“ Nie wiem, co opętało tych ludzi. Możnaby myśleć, że żyjemy w trzynastym wieku.

Wstał, poszedł do okna i spojrzał na pagórek, oraz na małą, czarną postać, biegnącą na dół.

— Widocznie spieszy mu się bardzo, a jednak nie sporo się rusza z miejsca, jakby miał pełne kieszenie ołowiu — zauważył dr. Kemp.

Za chwilę wyższy z domów, położonych na pagórku, zasłonił biegnącą postać, która pokazała się potem jeszcze trzy razy pomiędzy trzema osobno leżącemi willami, a wreszcie zniknęła za tarasem.

— Osły! — zadecydował dr. Kemp, wykręcając się na obcasie i wracając do swej pracy.

Ale ci wszyscy, którzy widzieli bliżej uciekającego i zauważyli wyraz śmiertelnego strachu na jego spoconej twarzy, nie podzielali pogardy doktora. Człowiek ten biegł, a przytem brzęczał, jak dobrze napełniona sakiewka, podrzucana tu i tam. Nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, jego rozszerzone źrenice były utkwione prosto, tam w miasto, gdzie już świeciły latarnie i ludzie roili się w ulicach. Jego szerokie usta były otwarte, toczyła się z nich piana i wydobywał się z nich oddech chrapliwy i prędki. Wszyscy przechodnie, koło których przebiegał, stawali na drodze, patrzyli za nim i przed nim i pytali jeden drugiego, trochę niespokojni o przyczynę takiego pospiechu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FROZO.

Powieść romantyczna przez *Antoniego Hope*.

33) **(Ciąg dalszy.)**

Dymitry skończył śnadanie, zjadł swój kawałek chleba i począł czyścić ostrze swego noża na dłoni i próbować wielkim palcem, czy dość jest wyszlifowane. W czasie tej roboty rzucił półgłosem sam do siebie, a ja nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, gdy posłyszałem tę tak dobrze znaną mi melodyą, śpiew jednookiego Aleksandra ułożony na śmierć Stefana Stefanopoulosa dwieście lat temu. Tymczasem Dymitry ciągle jeszcze ostrzył nóż i nucił i spoglądał na błękitne fale morza. Nie starałem się odgadywać jego myśli, pozostawiając to Murakiemu i wyznaję szczerze, że wcale to na mnie nie robiło żadnego wrażenia, a Muraki nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi. Prowadził on bowiem żywą rozmowę z Frozo i nagle usłyszałem jak zawołała przerażona: „Nie, nie, proszę, a Muraki odpowiedział podniesionym tonem: Tak, tak być musi.

Wytężyłem słuch i prawie na wpół wstałem z siedzenia, ale wymierzone bagnety zmusiły mnie do zajęcia miejsca. Nie mogłem usłyszeć słów jej, ale mówiła po cichu jakoby prosiła o coś i błagała, na co Muraki odparł szyderczym śmiechem i wzruszeniem ramion, poczem zwrócił się i zbliżył do mnie.

— Odejdźcie na stronę, rzekł do żołnierzy, ale uważajcie na więźnia i gdyby zrobił jakie poruszenie.... Nie skończył, ale z tych paru wyrazów można było domyślić się reszty, poczem odezwał się do mnie po francuzku:

— Piękna to rzecz poświęcenie kobiety, mój kochany lordzie, rzekł. Szczęśliwy jesteś, że masz dwie, które kochają się w tobie.

— Ale ty także miałeś dwie żony, Paszo, jak mi powiadałeś.

— Nie jest to zupełnie jedno i to samo bynajmniej. Prawdopodobnie ożenię się po raz trzeci, chociaż niestety nie mogę sobie pochlebiać, aby trzecia żona oddała mi rękę z wielkiej miłości. Ale nie o tem chciałem mówić, chodzi tu o ciebie lordzie. Wyobraź sobie, że Frozo tak jest do ciebie przywiązana, iż chce wyjść za mine jedynie, aby ciebie ocalić. Czyż cię to nie wzrusza?

— Mam nadzieję, że tego nie zrobi, odparłem.

Jest w tem trochę więcej jak uprzejmy pozór, on przyznał, bo ona w każdym razie musi być moją żoną, lecz tego rodzaju wyobrażenia zadowalniają kobietę.

Tu spojrzał na mnie przenikliwie, jakoby chciał zbadać jakie to na mnie zrobi wrażenie.

— Co do mnie, odpowiedziałem, to nigdy nie miałem zamiaru żenić się z nią, bo jak ci wiadomo, Paszo, jestem związany słowem z inną. Był to z mej strony inny uprzejmy pozór, aby cię umartwić, Ekscelencyo.

— A, doprawdy! To zabawnie, i tu zachichotał, nie czując się wcale urażonym, że został oszukany. Dziwiłem się trochę temu.

— Właśnie, ciągnął, żyliśmy ciągle w atmosferze uprzejmych pozorów. I tak, mój kochany lordzie, było to uprzejmym pozorem z mej strony, że czułem się zmartwiony ucieczką z więzienia Konstantego.

— A potem, że chciałeś go schwytać, Paszo.

— Po trzecie, że nie było ci spieszno pożegnać moje gościnne progi.

— A po czwarte twoja uprzejmość dla moich towarzyszy, że starałeś się ich wysłać na obfity połów ryb' wtrąciłem.

— Tak, tak, zaśmiał się. A teraz będzie jeszcze jeden uprzejmy pozór, mój kochany lordzie.

— Zdaje mi się, że go się domyślam, rzekłem, spoglądając mu w oczy.

— Ty zawsze jesteś taki domyślny, zauważył Muraki.

— Jakkolwiek muszę przyznać, że nie rozumiem w jaki sposób to się stanie.

— Otóż nasz nieodżałowany Konstanty, który miał tyle doświadczenia, a mało wyobraźni, pozornie umarł na febrę. On mi mówił, że to była zwykła dewiza w Neapolii.

— A zatem jego żona także umarła na febrę, nieprawdaż? Zdaje mi się, że tu uśmiechnąłem się mimowolnie. Jakkolwiek byłem w tak wielkiem niebezpieczeństwie, robiło mi to przyjemność walczyć na słowa z Paszą.

— O, nie. To niegodnie z twej strony. Nigdy nie uciekaj się do pozorów tam, gdzie tego nie potrzeba! Odkąd on umarł, on zamordował swoją żonę. Gdyby był żył naturalnie......

— W takim razie byłaby umarła na febrę.

— Bezwątpienia. Musimy nagiąć się do okoliczności, tak jest najmędrzej. A teraz gdy chodzi o ciebie... Tu pochylił się i spojrzał mi ostro w oczy.

— Gdy chodzi o mnie, rzekłem, możesz to nazwać jak ci się podoba, Paszo.

— Czy sądzisz, że tu nie wchodzi w grę także obrażony patryotyzm Neapolijczyków? podsunął z uśmiechem. Kupiłeś wyspę, ty, cudzoziemiec! Było to bardzo nierozważnie z twej strony. Ci wyspiarze są buntowczycy.

— Mogło to było uchodzić, gdyby Konstanty żył, ale on nie żyje, Paszo.

— Niestety ziomek mój nie żyje, ale są inni. Otóż ten tutaj, który powinien wisieć.

— A! I tu zwróciłem spojrzenie na Dymitra, który ostrzył nóż i nucił półgłosem, a który nie zasłużył na życie przez to, że mnie tu przyprowadził dziś rano, chociaż uznaję w tem pewną zasługę.

— Kto, Dymitry? — zapytałem obojętnie.

— Tak, Dymitry, — rozśmiał się Pasza. — Posiada on zupełnie zdrowy sąd o rzeczach.

W czasie naszej rozmowy dochodził nas wesoły śpiew Dymitra. Pasza usłyszał go.

— Trzy lata temu kazałem powiesić jego brata, — zauważył.

— Wiem o tem, — odrzekłem. — Zdaje się, że dokonałeś wiele charakterystycznych rzeczy, trzy lata temu, Paszo.

— A on szedł na szubienicę nucąc tę samą melodyą. Czy znasz ją?

— Zaiste, znam ją bardzo dobrze. Słyszałem ją za pierwszem stąpnięciem na ziemię Neopalii i zdaje się, że to będzie po raz ostatni.

— Melodya ta doskonale wtóruje spełnieniu mego zamiaru, — rzekł Muraki.

— I niezawodnie okaże się wielce chwalebnem potwierdzeniem tegoż, — dorzuciłem.

Pasza zaprzestał rozmowy na chwilę. Spojrzałem w stronę Frozo i zauważyłem, że siedziała głową oparta o skałę i miała oczy zamknięte. Zdawało mi się, że albo zemdlała, albo znajdowała się w nawpół nieprzytomnym stanie. Muraki pochwycił moje spojrzenie.

— Przypatrz jej się dobrze, nie trać czasu — odezwał się dzikim tonem, — bo niedługo już będziesz się cieszyć jej widokiem.

— Zależy to od Boga — rzekłem, — ani ty Paszo, ani ja nie wiemy ile czasu pozostaje nam do życia.

— Ale ja mogę odgadnąć, — zauważył Muraki, z spokojnym uśmiechem.

— Zapewne, — odparłem.

Stał i spoglądał na mnie przez chwilę, poczem odszedł, a przechodząc obok żołnierzy, mówił coś do nich. Widziałem jak się rozśmiali. Bezwątpienia polecił im wykonanie zamachu i mógł liczyć, że go nie zawiodą.

Mała zatoka, w której znajdowaliśmy się, otoczoną była spadzistemi skałami, wyjąwszy wąskiej, ścieżki, prowadzącej do brzegu morza. Właśnie na tej wywyższonej, trawą porosłej ziemi siedział Dymitry, a Pasza zabawiwszy się ze mną tak długo jak mu się podobało, zwrócił się ku niemu.

Dymitry poskoczył i skłonił mu się nizko, Muraki skinął, aby podszedł bliżej i zaczął z nim rozmawiać.

Siedziałem cicho i spokojnie na miejscu pod bagnetami żołnierzy zwróconych do mnie twarzą, a tyłem do gubernatora, a wzrok mój przykuty był do tych dwoje ludzi konferujących na ścieżce. Głowa pałała mi gorączką, chociaż nie miałem żadnych skrupułów co do Murakiego, bo on sam swojem postępowaniem zniweczył je we mnie. Życie moje zależało teraz od owego dzikiego, namiętnego barbarzyńcy, który stał z głową pokornie spuszczoną, w uniżonej postawie z lekko przewieszonym nożem na ręku.

On to był owym „nieznanym moim przyjacielem,“ o którym mówiła Panajota i w jego niepowściągniętej zemście do Paszy, był mój jedyny ratunek. Jednakże była to tylko szansa, bo żołnierze mogli byli mnie zabić, albo Muraki mógł był przekupić Dymitra.

Zależało od tego czy on wybierze łatwiejsze dla siebie zadanie i podniesie rękę na mnie, bezbronnego, czyli nie zważając na swe własne niebezpieczeństwo, popchnięty długo tajoną zemstą i nienawiścią, rzuci się na Murakiego. W tym ostatnim przypadku mogła być dla mnie nadzieja. Rzuciłem okiem na bladą i nieruchomą twarz Frozo, na małe czółno kołyszące się na wodzie, które Dymitry nie przywiązał do brzegu, na linę wiążącą je z drugiem czółnem, mierzyłem odległość pomiędzy mną, a wybrzeżem, wreszcie włożyłem rękę do kieszeni i otworzyłem nóż składany, jedyna broń, która mi pozostawała.

Tymczasem Muraki rozmawiał i uśmiechał się. Nie zrobił wprawdzie żadnego ruchu, ale widziałem jak oczami wskazał na mnie i Dymitry spojrzał w tym kierunku, nie zatrzymując wzroku na mej twarzy. Pasza znowu zaczął coś mówić. Dymitry potrząsnął głową.

Muraki zdawał się namawiać go do czegoś, obiecywać mu coś uśmiechając się przytem swobodnie. Dymitry znowu potrząsał głową. Pasza przestał się uśmiechać, oblicze jego się zachmurzyło, na ustach osiadł wyraz surowy, zaczął mówić ostro i krótko, rozkazującym tonem. Dymitry zdawał się przemawiać na swoją obronę, był niespokojny, krok za krokiem oddalał się od groźnego natręta, aby ujść jego natarczywości. Muraki nie dał mu odejść, szedł za nim krok w krok, a twarz jego płonęła teraz gniewem i wściekłością. Podniósł rękę, zacisnął pięść ze złości. Dymitry wyciągnął dłoń, jakoby się zaklinał i błagał o coś. Muraki tupnął nogą, zdawał się nieprzejednany.

Oczy zaszły mi mgłą z wytężenia. Byłem jak ktoś, który zapatrzył się w białe jasne światło i pomimo, że go raziło, nie mógł od niego oderwać wzroku. Muraki i Dymitry przedstawiali mi się niewyraźnie. Przetarłem oczy i znowu patrzałem. Uszli kilka kroków dalej. Dymitry zawsze szedł naprzód, pozostawiając Paszę po za sobą. Musiało to być w jego planie i myśl ta rozbudziła iskrę nadziei we mnie. Dziękowałem Bogu za to i pragnąłem, aby ów człowiek, który tak ciężko zawinił względem mnie, odpokutował to utratą swego życia. I kiedy znowu wytężyłem wzrok w tę stronę, spotkałem się z szybkiem, wymownem spojrzeniem Dymitra.

Wiedziałem co ono znaczyło. Siedziałem ciągle na miejscu, nieruchomy, ale każdy muszkuł drgał we mnie, i wskutek silnego naprężenia nerwów, nieomal nie zakrzyknąłem: Uderz, uderz teraz, lecz powstrzymałem się i patrzyłem dalej. Żołnierze opierali się na bagnetach leniwie, czasami zamieniali parę słów z sobą, i pozierali z nudów, dziwiąc się, czemu Jego Ekscelencya nie odeśle ich do domu, a na to co się działo nad brzegiem, nie zwracali bynajmniej uwagi.

Wreszcie zaszła pewna zmiana. Dymitry przestał się opierać, odwracać ku odejściu. Muraki znowu uśmiechał się zadowolony, Dymitry spojrzał na mnie, Muraki mówił do niego, on mu opowiadał. Rzuciłem okiem na żołnierzy i zauważyłem w nich jeszcze większe znużnie i obojętność. Zwróciłem wzrok na Murakiego i widziałem jak uśmiechnięty podszedł bliżej do Dymitra i jakoby w uznaniu jego dobrych chęci, poklepał go po ramieniu.

— Teraz rozegra się dramat, pomyślałem, a może nawet poszepnąłem sam do siebie, chwytając za ukryty nóż w kieszeni. Tak teraz musi nastąpić koniec.

Muraki klepał Dymitra po ramieniu, śmiał się widocznie był kontent z niego. Dymitry skłonił głowę, ale powoli i ostrożnie sięgnął po nóż, którego ostrze wyszlifował tak starannie. Nóż posuwał się zwolna od łokcia do ręki, poczem w mgnieniu oka, za jednym zamachem, zabłysnął ostrzem w słońcu i utonął w piersi Murakiego. Z nagłym okrzykiem osłupienia, grozy i bólu, Pasza zatrzymał się i upadł, pochylając się na kamienistą ziemię, a Dymitry zawołał: Dzięki Bogu, nareszcie się zemściłem i zaśmiał się głośno.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



B. C. Firenze.

SZKODNICY.

Album „Pracy."

Drukiem „Pracy".

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



F. Kiesel. **Pieśń wieczorna.**

Pieśń wieczorna.

(Z TOFANOWA).

Wieczór posiał aromaty...
Cisza. Senna rzeka,
W łun zachodu strojna szaty,
Chmury buja zlekka.

Wieczór wdziera się na szczyty
W krwawych zórz popiele,
Wieczór dywan rosą lity
Po równinach ściele.

Zapadł w rzekę i utonął....
Wzniecił blask w obłoku...
Męką marzeń w duszę wionął
I pogrążył w mroku.

Bolesław Londyński.

Pomorze kaszubskie i jego mieszkańcy.

II.

Przejdźmy teraz do *Kaszubów zachodnio-pruskich*. Ziemia, na której ludek ten się rozsiadł, to kraina piasków i wrzosów. Gleba tu nieurodzajna, nędznie karmiąca swego pana, ale za to jest to kącik bardzo malowniczy. Z jednej strony oblany szumiącemi falami Bałtyku, z drugiej ujęty pasmem głębokich borów tucholskich, upstrzony jest nader licznemi jeziorami, które z pośród piasków je okalających wyglądają niby modre oczy w białej twarzy płowego pacholęcia kaszubskiego. Gdzie okiem rzucisz pełno mogił i kurhanów, przechowujących w swem łonie popioły naszych dziadów, w misternych urnach złożone. Pełno tu pagórków i parowów, gęstym lasem pokrytych, tutaj też wznosi się najwyższy punkt (331 m.) równin północno-pruskich, u którego stóp błyszczą modre fale jezior raduńskich . Warto zaiste zwiedzić to dziedzictwo Mestwina, które nie bez przyczyny nosi nazwę „Kaszubska Szwajcarya''.

Kaszubi zamieszkują następujące powiaty: pucki, wejherowski, kartuski, gdański górski, kościerski, chojnicki i człuchowski. Najsilniej reprezentowany jest żywioł kaszubski w trzech powiatach północnych tj. w puckim, wejherowskim i kartuskim. W puckim wynosi liczba Kaszubów 18,600 czyli 77% ogółu mieszkańców, w wejherowskim mieszka 27,900 Kaszubów czyli 67% ogółu, w kartuskim 45,284 czyli 75% ogółu. Im dalej na południe i wschód, tem mniej napotykamy Kaszubów: w powiatach kościerskim, chojnickim i człuchowskim są oni silnie zmieszani z Polakami i Kosznajdrami, w powiecie gdańskim z Niemcami. W rozproszeniu znajdujemy ich jeszcze w powiatach sąsiednich, ale liczba ich tam tak jest małą, iż nie przedstawiają sami w sobie żadnej siły, podczas gdy w północnych trzech powiatach tworzą wyłącznie element polski. Jak na właściwem Pomorzu, tak i w Prusach Zachodnich różne zachodzą trudności w skonstatowaniu dokładnej liczby Kaszubów. Wprawdzie przy ogólnem liczeniu ludności zaprowadził rząd osobną rubrykę dla Kaszubów. Lecz ponieważ ludność kaszubska słusznie widziała w tem cel wrogi, dla tego wiele tysięcy Kaszubów zapisało się po prostu w rubryce dla Polaków, a ponieważ w dodatku licznych dopuszczano się nadużyć na korzyść niemczyzny, więc statystyka rządowa pod względem narodowościowym żadnej nie przedstawia wartości. Dla tego to podjął się Stefan Ramułt trudnego zadania obliczyć szczegółowo liczbę Kaszubów zachodnio-pruskich. Pracy tej dokonał r. 1892. Wprawdzie liczba przez niego podana jest za wysoka, lecz z braku dokładniejszego obliczenia musimy się trzymać dat, przez niego podanych. Wedle Ramułta wynosiła liczba Kaszubów zachodnio-pruskich 1892 roku — *162,947*. Gdy dodamy do tego 9,500 Kaszubów pomorskich, otrzymamy 172,447 dusz. Mamy podobno kolonie kaszubskie i w Poznańskiem a nie trzeba o tem zapominać, że i wychodźtwu polskiemu do zachodnich prowincyi niemieckich Kaszubi znaczny dają procent. Reasumując więc wszystkie te dane, otrzymamy w przybliżeniu ogólną liczbę Kaszubów zamieszkujących Królestwo Polskie *w wysokości 173,000*.

Lecz siedziby Kaszubów nie ograniczają się na Europę. Pociągnięci ciekawością a głównie zmuszeni nędzą i prześladowaniem opuściło wiele tysięcy swe strony rodzinne, aby w nowym świecie szukać nowej ojczyzny i lepszej doli. Kaszubi dali początek emigracyi polskiej do Ameryki, oni też stosunkowo do największego doszli tam dobrobytu. Najliczniejszą była emigracya w latach od 1848—90. Według obliczeń Derdowskiego z roku 1897 jest w Stanach Zjednoczonych około 100 tysięcy Kaszubów, w Kanadzie około 25.000, w Brazylii 15.000; razem około 140.000. Ogólna liczba Kaszubów na całym świecie wynosi zatem przeszło 300.000 dusz.

Jaki jest stosunek Kaszubów do Polaków pod względem narodowościowym? Uczeni niemieccy, nie znający dostatecznie ani języka polskiego ani kaszubskiego, a za nimi i niektórzy Polacy twierdzą, że Kaszubi to zupełnie odrębny naród, a język kaszubski to nie polski. Według nich Kaszubi to resztki wymierającego narodu Wendów czyli Słowińców, którzy nie należeli do rodziny Lechitów, lecz stanowili pod względem etnicznym osobny lud. Z Polaków pierwszy wystąpił z teoryą odrębności szczepowej Kaszubów słownikarz i gramatyk Mrongowiusz, pastor gdański. Ten otrzymawszy od rządu rosyjskiego polecenie zbadania języka kaszubskiego w sprawozdaniu przesłanem rosyjskiemu ministerstwu oświaty twierdzi, że Kaszubi nie rozumieją mówiących po polsku. Natomiast ma według niego narzecze kaszubskie wykazywać wielkie podobieństwo do języka rosyjskiego. W ślady Mrongowiusza poszedł wschodnio-pruski pisarz Prajs, który 1840 r. podobne zlecenie z strony rosyjskiej odebrał. Sprawozdania tych 2 pisarzy stanowią kamień węgielny odrębności Kaszubów. Z nich bowiem wziął asumpt fantasta dr. Cejnowa do swoich pomysłów językowo piśmiennych, usiłując wyodrębnić gwarę swego ludu głównie na podstawie dziwacznego alfabetu, żywcem zapożyczonego od Czechów. On to wzniósł właściwy gmach odrębnej *„kaszebskoe - słowińsci muowe''*, ogłaszając podrzecze wejherowskie upstrzone przez siebie czechizmami, językiem kaszubskim. Prace jego w narzeczu kaszubskiem są dosyć liczne. Napisał on gramatykę, słownik kaszubski, katechizm, elementarz itd. Również wydawał od r. 1866—68 czasopismo w narzeczu, poświęcone etnografii Kaszub p. t. „Skorb kaszebskoe-słowińsci muowe''. W czasie pisarskiej działalności Cejnowy wybrał się na Kaszuby profesor rosyjski Hilferding. Zajął się on zbadaniem kaszubszczyzny na Pomorzu, podczas gdy prace poprzednich pisarzy głównie dotyczyły Kaszubów zachodnio-pruskich. Owocem jego wycieczki jest książka p. t. „Ostatki Słowian na jużnom bieregu Bałtijskawo morja''. Hilferding stwierdził wprawdzie przynależność kaszubszczyzny do języka polskiego, ale pozostając pod bezpośrednim wpływem Cejnowy, przyznał jej z drugiej strony pewną samodzielność, ogłaszając ją za szczątki języka połabskiego, co zresztą odpowiada prawdzie o tyle, że tą samą gwarą co Pomorzanie mówili Słowianie meklemburscy i nadłabscy, co jednak kaszubszczyzny bynajmniej nie pozbawia cech narzecza polskiego.

W najnowszym czasie w obronie teoryi odrębności językowej Kaszubów wystąpił Stefan Ramult. Opierając się przeważnie na pismach Cejnowy i Hilferdinga odrywa i on w swoim „Słowniku języka pomorskiego'' i w cennej skądinąd „Statystyce'' Kaszubów od pnia polskiego, wyznaczając im w rzędzie ludów słowiańskich osobne miejsce.

Teorya odrębności szczepowej Kaszubów jest błędna i nieuzasadniona. Kaszubi to Polacy, a mowa ich nie jest niczem innem jak tylko gwarą języka polskiego. Prawda na pierwszy rzut oka dyalekt kaszubski znacznie się różni od języka polskiego i na ludziach nie znających dokładnie narzecza kaszubskiego może rzeczywiście robić wrażenie mowy niepolskiej. Lecz kto rzecz dokładniej zbada, musi nabrać przekonania, że gwara kaszubska to *najstarsza z wszystkich gwar polskich*,

atoli gdy tamte się rozwijały i doskonaliły, ona popadła w zupełny zastój i przechowała się w pierwotnej swej formie, naturalnie licznemi zeszpecona germanizmami, do dni dzisiejszych. Przyczyną tego objawu było pozbawienie Pomorza przez tyle wieków wszelkich stosunków i wszelkiej łączności z



Droga wśród lasu w „Kaszubskiej Szwajcaryi".

Polską, odcięcie od środowisk polskiego życia umysłowego i polskiej kultury. Dla tego chcąc wydać sąd o mowie kaszubskiej, nie można jej porównać z językiem polskim piśmiennym i to jeszcze dzisiejszym, lecz trzeba się cofnąć o kilka set lat wstecz i zestawić ją z gwarami, jakiemi mówił ówczesny lud polski różnych dzielnic. A wtedy przekonamy się, że to, czem gwara kaszubska dzisiaj różni się od języka polskiego, znajduje się w znacznej części także w innych narzeczach, reszta zaś to naleciałości języka niemieckiego, pod którego wpływem tyle wieków stojąc coraz bardziej się krzywiła i psuła. To też znawcy mowy kaszubskiej jak ks. Pobłocki, dr. Nadmorski, Parczewski, prof. Brückner, prof. Kalina, Karłowicz wykazują całą bezpodstawność tejże teoryi. Nawet wielu uczonych niemieckich, jak Bronisch, pastor Loreck takie same zajmują stanowisko. Ostatni doskonały znawca ludu kaszubskiego i jego gwary pisze: „Kaszubska mowa jest pierwotnie słowiańsko-wendyjską", a obecnie właściwie narzecze polszczyzny, od której się różni tylko wymową i intonacyą, jednak nie zachodzi tu taka różnica jak pomiędzy niemieckim językiem piśmiennym a plattdeutsch".

Sam lud kaszubski uważa się za Polaków. Kaszuba doskonale rozumie język polski, czego najlepszym dowodem fakt, że od wieków słucha kazań polskich, modli się na książkach polskich, śpiewa pieśni polskie. Twierdzić, że „plattdeutsch" nie jest mową niemiecką, znaczyłoby narazić się na śmiech powszechny, a jednak nie rzadkie są u Niemców wypadki, że sędzia Niemiec z ziomkami swymi mówiącymi tylko językiem ludowym, nie może się porozumieć i musi użyć pomocy tłomacza. *A. Węsierski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złote listki.

Są szczęścia, których prawie od najsroższych bólów odróżnić niepodobna.
Józef Ignacy Kraszewski.

* * *

Nie jeden wprawdzie wielki mąż nas zdumiał
Mężnem wytrwaniem albo świetnym zgonem,
Lecz kto wie, czyli samby Kato umiał
W każdej chwili być Katonem?
Franciszek Morawski.

* * *

Pięknie jest być niewolnikiem słowa, zwłaszcza takiego, które dajemy z prawdą rozumu i serca.
Kazimierz Brodziński.

* * *

. . . . . . Kto już wątpi w sobie,
Nim działać zaczął — czynu nie dokona.
A. E. Odyniec.

* * *

Prawo ewangeliczne tem się różni od wszystkich ustaw ludzkich, że jest miłością i wolnością, kiedy zasadą ustaw ludzkich, jest konieczność, powinność.
Maksymilian Jakubowicz.

* * *

Sroższy jeleni huf, gdy je lew wiedzie,
Niźli lwów hufiec, gdy jeleń na przedzie.
Mikołaj Rej.

* * *

Gdyby świat odrazu stanął u wieków celu, gdyby kiedykolwiek wszechświat cały u celu stanął, obumarłby i przestałby być szczęśliwym.
Wojciech Dzieduszycki.

* * *

Ty wiesz, że nam na życia wytknięto koleji
Chwilę szczęścia, pół smutku, drugie pół nadzieji.
Kazimierz Brodziński.

* * *

Człowiek nieznane rzeczy objaśnia znanemi; nawet nieskończoność oznacza i mierzy pojęciami skończonemi.
Antoni Mierzyński.

Aër.

Złudzenia.

Opowieść
z czasów księcia Józefa Poniatowskiego.

10) (Ciąg dalszy.)

VI.

Przeczucia co do rezultatów bitwy pod Jeną nie zawiodły mieszkańców Warszawy. Lubo rząd pruski skrzętnie się starał stłumiać i zatajać wszelkie złe wieści, lubo z powodu znacznych przestrzeni i utrudnionej komunikacyi pocztowej, wieści zwykle do Warszawy przychodziły dość późno — straszna ta jednak a stanowcza klęska, nie mogła się długo utaić.

Zbornym punktem wszystkich polityków i gadułów, jakich każde miasto miewać zwykło, była dla Warszawy znajdująca się na Krakowskiem Przedmieściu obok poczty kawiarnia Augusta. Tu gromadzili się zarówno Polacy, jak oficerowie i urzędnicy pruscy, tu rozczytywano się w dość licznych dziennikach; wśród stuku kul bilardowych i brzęku szkła, tworzono polityczne kombinacye, wyprowadzano z nich horoskopy, oraz przekształcano postać świata.

To też tu najpierw doszły dokładne i prawdziwe wieści o ostatnich wypadkach, a te tak prędko rozbiegły się po mieście, że nakoniec i rząd pruski uczuł się zmuszony w urzędowej swej gazecie ogłosić kilka szczegółów, chociaż bardzo oględnie. Że zaś i Prusacy stracili kontenans i nie karali nawet tych, którzy publicznie niekorzystne o nich wiadomości udzielali, zakipiało więc w mieście jak w garnku, a każdy dzień coraz inną i coraz ważniejszą przynosił nowinę.

Opowiadano więc sobie, jak niezwyciężony Napoleon zajął Berlin, jako z królewskiego zamku rozsyła rozkazy bohaterskim swym armiom, jako szczątki wojska pruskiego ustawicznie tępi i jako fortece pruskie jedna po drugiej poddają się. Potem rzeczy ważniejsze, bo takie, że sercem każdego mieszkańca Warszawy wstrząsały do głębi.

Oto orły Napoleońskie mają się skierować aż ku Wiśle; oto Francuzi już w Poznaniu rządy polskie organizują; już Dąbrowski, Zajączek tworzą legie. Cesarz przyjmuje deputatów, a w zamian za nadzieję żąda tylko trochę mienia i zdaje się powątpiewać, aby do ofiary takiej naród był gotów.

Te nadzieje, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmieniły zaraz postać mazowieckiego grodu, kiedy jeszcze rozeszły się wieści, że potomek królów, ks. Józef przechodzi na stronę francuzkiego wojownika i pałacyk pod Blachą zrobił punktem środkowym, nie już dla zabaw jednak i plotek, ale z powodu poważnych myśli o przyszłości. Muzyka zamilkła w nim, tańce ustały, stronnictwa wszystkie i koterye zlały się w jedno ognisko i kiedy mężowie radzili, jakby najwymowniej i najszybciej dowieść, do czego naród jest zdolny, niewiastom łzy się kręciły pod powiekami, serca im biły jak młoty i wszystkich oczy zwracały się ciągle w stronę zachodnią, z jednem i temże samem zapytaniem: „Och, czemuż nie przychodzą, czemu tak długo każą czekać na siebie?"

Nie zważano na to, że Prusakom przybywają posiłki, że część tej pomocniczej armii rozłożyła się pod Pragą, że w kierunku granicy austryackiej staczają się bitwy, że może nowym siłom, zwłaszcza skoalizowanym, nie podołają wyczerpani trudami Francuzi.

Nie, przypuszczenia takiego nikt nie robił, bo w serca i największych nawet sceptyków wkradła się niczem nie złamana wiara, że Napoleona zwyciężyć nie można.

Pod wpływem tych uczuć najwięksi nawet wrogowie cudzoziemszczyzny nabrali religijnego prawie kultu dla wszystkiego co francuzkie. Ci, którzy języka Gallów nie znali, na gwałt go uczyć się zaczęli, a znienawidzone dotychczas przez purystów przedstawienia teatralne francuzkkie w pałacu Radziwiłłowskim, stały się celem pielgrzymki nietylko takich osób, jak całe towarzystwo, zbierające się u Sołtyków, ale poważnych nawet i wiekowych matron.

Ewunia, lubo dopuszczana w domu Sołtyków do wszystkich towarzyskich przyjemności, z powodu jednak surowych obyczajów domowych rzadko wydalała się poza dom, a już ani w teatralnych przedstawieniach, ani w asamblach, nie brała udziału.

Teraz jednak dziewczę było tak wzruszone, tak podniecone, że i poważna Sołtykowa oprzeć się jej zapałowi nie mogła, a ponieważ panna wybornie mówiła po francuzku, a Sołtykowa również pociągnąć się dała ogólnemu zapałowi, po kilkakroć była już z nią z wizytą pod Blachą i żadnego prawie wieczoru nie ominęła we francuzkiem *theatrum*, w towarzystwie panienki.

Dnia 26-go listopada, kiedy cała śmietanka towarzyska znajdowała się na francuzkiem przedstawieniu teatralnem, łomot ciężkich kół po bruku i szczęk broni dochodził aż tu przez grube mury pałacowe. Co to było, pytano siebie z niepokojem wzajemnie, aż wracający z antraktu panowie donieśli, że to Prusacy opuszczają mury Warszawy.

Przywykłym do pruskiej potęgi ludziskom wydało się to na razie nieprawdopodobne, ale skoro wyrażono przypuszczenie, że Francuzi muszą już być niedaleko, wszyscy uwierzyli temu odrazu. Spojrzano na lożę księcia Józefa, ale w niej nie było nikogo. Widocznie ten, na którego oczy wszystkich się teraz zwracały, świadczył nieobecnością swoją najlepiej, że w tej chwili zajmować musi posterunki opuszczone. I wszystkich ręce splotły się w serdecznym uścisku, a aktorom francuzkim tak klaskano, takie im wyprawiano owacye, że już nigdy chyba i nigdzie nie odnieśli tryumfów podobnych.

Że Prusaków nie było już w Warszawie, było szczerą prawdą, o której ludek miejski przekonał się nazajutrz, skoro zbudzony przeczuciem ważnych wypadków, wstał niezwykle rano i wyroił się na ulice całemi masami.

W mroźnym, ale pogodnym poranku, czerwony krąg słońca wolno wysuwał się z po za linii horyzontu, mgła całunem zawisła ponad miastem, a w powietrzu panowała cisza, jakby zwiastując przedwstęp do nadzwyczajnych wypadków.

Na ulicach nigdzie pruskiego żołnierza, na odwachach gwardya miejska, a na rogach ulic odezwa księcia Józefa, zawiadamiająca, że przez czas, po wyjściu Prusaków, póki inna władza ustanowioną nie zostanie, on, na czele gwardyi obywatelskiej, obejmuje zwierzchnictwo nad miastem.

A więc to, co głuche wieści podawały w nocy — sprawdziło się.

Ale wnet do serca zakrada się robak zwątpienia i wówczas do mózgu ciśnie się pytanie, czy to nie sen, czy nie złudzenie

Takichże samych wrażeń doznał i lud warszawski. Zaledwie przeminęło pierwsze uczucie uciechy, zaledwie wypłakał się na piersi bodajby nieznajomego, byle rodaka, sceptycyzm wstąpił mu do duszy i każdy śpieszył przez ulicę Bednarską ku Wiśle, aby się przekonać, czy Prusacy ustąpili rzeczywiście. Wciąż napływające nowe tłumy miały sposobność przekonać się, że radość ich jest słuszna. Prusacy wszyscy cofnęli się do Pragi i jej okolic, założyli tam obóz i lubo paszcze dział zwrócili na gród Warsza, jednak nie mieli snać zamiaru wracać do niego, bo podpalili most, łączący Warszawę z Pragą. Po belkowaniu mostu, po jego palach i słupach w niepewnym brzasku jesiennego poranku ślizgały się zwolna strumienie światła dopalającego się drzewa i ognisty ten ogon wlókł się

zwolna po szarych falach Wisły, jakby przynależność Prusaków.

W miarę tego, jak który pal dogorywał, wznoszący się z niego blask płomienisty przygasał, w ognistym szlaku robiły się szczerby, aż wreszcie ponad płomieniami zapanowała królowa polskich rzek i wartko tocząc swe prą-



H. Dahl. **Zalecanki.**

dy, zdawała się obiecywać, że między wrogiem a zgromadzonymi nad jej brzegami Warszawianami położyła tak silną zaporę z płowych swych fal, że pruska stopa nie ośmieli się jej przekroczyć.

Widok ten podziałał uspokajająco i przekonywająco na mieszkańców, to też oddali się niezmiernej uciesze. Nikt powracać nie chciał do zajęć codziennych, a tylko ucztowano i radowano się zapamiętale.

W krótkim dniu jesiennym niedługo zapadł mrok, a skoro zbliżyła się szósta wieczorna godzina, od strony rogatek Wolskich, przez Chłodną i Elektoralną, wyciągniętym kłusem, ku mostowi przedzierał się oddział kawaleryi.

Stukot kopyt końskich po bruku, pośpiech, z jakim oddział ten zmierzał ku nieistniejącemu już mostowi, wywołały na nowo mieszkańców z ich domów i niejedno oblicze pokryło się chmurą smutku, przypuszczano bowiem, że lubo część Prusaków przeszła już za Wisłę i przez spalenie mostu zerwała związek swój ze stolicą, może być, że nowe pułki przybywają, aby zastąpić miejsce tamtych.

Z obawą i troską w duszy biegnąc na ulicę, śpieszono za tym tajemniczym oddziałem ku Wiśle i obserwowano go pilnie z zapartym tchem. Jeźdźcy ci stanęli nad brzegiem rzeki, w szereg się sprawili; starszy jakiś przejechał przed ich frontem i dał niemy znak odwrotu. Wzgórzystość ulicy Bednarskiej nie dozwalała na pośpiech w powrocie i ktoś więcej biegły w mowach cudzoziemskich, podsunął się bliżej ku koniom i usłyszał kilka słów z rozmowy kawalerzystów.

— Francuzi! — krzyknął głosem takim, jak ów Grek, dający znać ziomkom o zwycięstwie pod Salaminą.

— Francuzi! — powtórzyło echo i wszystkie okna domostw zagorzały światłem, a tłum tak rojny począł wysypywać się na ulicę, że wszystkie przestrzenia między murami nabiły się głowami jak makówkami i z tysięcy piersi wzlatywały ku niebu okrzyki radości, niby jeden hymn tryumfalny.

Jeźdźcy zatrzymali się przed Bernardyńskim kościołem, gdyż z powodu ścisku było niepodobieństwem postąpić krok dalej, a pod nogi ich koni na klęczki upadał lud, niewiasty całowały ich strzemiona, kolejno to okrzyki tryumfu, to rzewny płacz radości słychać było na wszystkie strony.

Na tem jednak nie zakończyła się radość. Mieszczanin warszawski, kiedy szczęśliwy, nie samem tylko słowem fetuje; to też w tej chwili otwarto wszystkie sklepy, wino poczęto wynosić w gąsiorkach, w beczułkach, zjawiały się mięsiwa i chleby, i nie zważając na dyscyplinę wojskową, jeźdźców z koni gwałtem zsadzano, tkano im do ust napój i posiłek, a przytem całowano i ściskano setnie.

O rozmowę, o język nie troszczono się. Słowa: *Bon camarade* brzmiały najczęściej, a nie rzadko wyrazy takie, jak *Frater*, a nawet *Bruder* starczyły za całe porozumienie.

Zgłodniali kawalerzyści generała Michaud, gdyż to rzeczywiście byli prawdziwi Francuzi, nie pytali o język, jakim do nich przemawiano, a tylko nasyciwszy głód i przywykli do serdeczności ludu polskiego, wskutek wędrówki swej od granic Polski, wykrzykiwali co chwila: *Vivent les braves polonais!*

Lud snać rozumiał te słowa, bo po każdym wykrzykniku podobnym, nuż ściskać swych gości, nuż ich całować, nuż zapraszać na coraz przedniejsze zakąski i koniom nawet świadczyć wszelkie możliwe wygody.

Tak przebaraszkowano noc całą, a kiedy zaświtała jutrzenka na niebie, przekonano się dopiero, że pierwszy ten oddział kawaleryi zostawił zdaleka w mieście, na opiece samej ludności, bez żadnej straży, swe bagaże i jaszczy-

ki, a ten dowód prawdziwie rycerskiego zaufania jeszcze więcej ku nim skłonił serca ludności warszawskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na przednówku.

Ze świata legend.

(Dokończenie).

— Bóg łaskaw, Bóg łaskaw... nikomu zginąć nie da, każdego z nieszczęścia wyratuje, nie rozpaczajcie jeszcze, dobra gosposiu, zmiłuje się Bóg nad wszystkimi... prawda, mój syneczku?!...

— Nakarmiliście swego chłopaczka... Już nie będziesz płakał, malutki, co? Jak się to ślicznie uśmiecha...

— To do was, gosposiu, chciałby wam podziękować za poczciwą gościnę.

— Nie ma za co... Żal mi ino, że was nie mam czem lepiej przyjąć... Ale jak to się do mnie śmieje dziecinka!

— Mówię wam, że z wdzięczności szczerej... A wy, gosposiu, nie macie wcale dzieci?

— Nie mam, matko, nie mam... Niegdyś miałam... był synek, ot, taki maleńki i tak samo uśmiechał się do mnie, jak wasz chłopczyk dzisiaj... Był taki maleńki, może troszkę większy... Dał Bóg i zabrał mi... raz... w taką noc słotną właśnie... Ulewa była, jak dzisiaj... i podobna bieda była w domu niby tego lata... bo to było także na przednówku i urodzaju nikt się nie spodziewał... Chociaż zawsze lepiej się nam działo jeszcze naonczas niźli teraz... Ot, błogosławieństwo Boże było w naszym domu... Zabrał mi Bóg naszego chłopczyka... A może byłoby lepiej pod naszą strzechą, gdyby nam żyło to dziecko...

— Żal wam, widzę, gosposiu, za tem dzieckiem, co pragnęlibyście dzisiaj... Otrzyjcie łzy, dobra gosposiu, Pan Bóg łaskaw, prawda, mój synku?...

— Ślicznie doprawdy uśmiecha się wasza dziecina... tak poczciwie na mnie patrzy... Dziękuję wam, matko, za pocieszenie, dziękuję... A wiecie, że mi się lżej na sercu robi, co się na mnie spojrzy wasz chłopczyna... Te oczęta ma takie... jak z nieba!... Dobry musi być dzieciak, widać mu to z ocząt...

— Dobry, mówicie? Świat nie widział lepszego synaczka!

— A widzi mi się, że i lepszej od was matki nie znajdzie... Tak wam jakoś z oczu to patrzy... Tylko boleść wielką macie w swej poczciwej twarzy... Nic mi nie powiadacie?

— Nasłuchuję... zda się deszcz już całkiem ustał... Bogu dzięki!

— I ja słucham... Bo mi się kroki jakieś przesłyszały... Tak, tak, to pewnikiem mój powraca z miasta... Chodził za interesem i tak go tam deszcz przytrzymał... A wraca, wraca... on! Czekał, aż przestanie lać!... Chodźże, chodź... Gościa Bóg nam dał... A to co?! Wszelki duch Pana Boga chwali.. Cóżeś ty za dziecko przyprowadził z sobą? Skądżeś wziął to chłopię?...

jeść... Przytulimy to, matka, prawda, przygarniemy... Pewnie sierotka?

— Słuchaj-no... czyś ty się przypatrzył temu dziecku?... Słuchaj-no, przysuń się do światła i w twarzyczkę mu zajrzyj... No, spójrz ino...

— Prawda, matka... prawda... Jaki podobny chłopaczek!... Widzę... Toć to wypisz, wymaluj!... jakby nieboszczyk!



Paweł Wats. **Chochlik leśny.**

— Nalazłem... Dobry wieczór... daj wam Boże... dobry wieczór... A i tu dziecinkę masz, widzę, w gościnie!... Nie boi mi się wcale wasz synaczek... A tamten chłopczyna to mi się lęka, gdy się przybliżę, płacze ciągle... Mojich wąsów się boi... Nalazłem to biedactwo na drodze w największy deszcz... Kwiliło strasznie przeziębłe, przemokłe i głodne... Trzeba chłopaczka osuszyć wprzódy i dać mu

— No, chyba, że ostanie pod naszym dachem!

— Pewnie, matko... jeśli tylko dach nasz tu ostanie...

— A bo co się stało, gadajże, chłopie!

— Dokoła wszystkie rzeki już wylały i nasz potok wzbiera ogromnie...

— Powódź!... Boże święty!... Powódź!... Tego ino brakło jeszcze! A

może nas nie dosięgnie, może Bóg się ulituje... Słuchaj, przecie deszcz ustał...

— Nie pada, ale najpóźniej rano zacznie lać na nowo... a wtedy... do jutrzejszego wieczora woda stanie nam w komorze!

— Nie rozpaczajcie jeszcze, moi dobrzy ludzie... Bóg łaskaw, zmiłuje się... nagrodzi was za wasze dobre serca, zapłaci wam za to, że pod zacnym dachem swoim nie żałujecie nikomu jadła ni ławy przy kominie... Bóg łaskaw... Prawda, mój synaczku? Możecie spać spokojnie wraz z przybranem dzieckiem...

. . . .

— Cóżeście tak rychło wstali, dobra kobiecino? Gdzie się to wam śpieszy o świcie... Po dalekiej drodze można było przecie przespać się dłużej i wypocząć... Zresztą widzi mi się, że nie będziecie mogli pójść dalej przez powódź... i zdaje mi się, że — nie daj Boże — znowu ino deszczu nie patrzeć.. Zaraz się rozpada!...

— Skoro tak powiadacie, że na nowo deszcz będzie... i powodzi się boicie potem... to mi pozwólcie, moi zacni gospodarze... wziąć dzban jaki duży... dzban, jaki tam macie... pożyczcie mi na chwilę... zaraz z nim powrócę... Ino zbiegnę na wasze pola... ponad potok wezbrany...

. . . .

I zbiegła niewiasta z syneczkiem na ręku z gościnnej chaty na pole, nad brzeg potoku...

I kiedy się chmury deszczem niemiłosiernym na nowo rozlały nad rolą chłopską — wzniosła niewiasta nieznana w górę ku niebu dzban, z chaty pożyczony — i stała tak długą chwilę, wśród pól nad wodą, w największy deszcz... z modlitwą na ustach... i z dzieckiem na ręku...

A z czarnych, groźnych chmur, lały się z szumem strasznym strumienie deszczu prosto w dzban i w dzban... Dokoła zaś nigdzie a nigdzie kropelka nie spadła z nieba i w potoku uspokojonym woda opadała coraz niżej i pola przesychały w oczach... Bo w którą stronę dziecko u boku matki wyciągnie rączęta, tam ciepło się robi przedziwnie — jak gdyby już dawno bez przerwy grzały mocno promienie słońca, które dopiero zaczynało wynurzać się z chmur... przelanych naraz w jeden dzban, z chaty pożyczony...

Kiedy się zaś nareszcie wyjaśniło zupełnie i południe nastało upalne — wróciła niewiasta z dzieckiem do gościnnej chaty — uginając się pod ciężarem dzbana, w którym zmieściła wszystek z nieba deszcz. Postawiła go w sionce przy progu, gdzie wczorajszego wieczora wykręcała wodę ze swych chust przemokłych — i poprosiła teraz gospodarza, by jej pomógł przenieść go do spiżarni, bo się już sama tak zmęczyła, iż dalej nie udźwiga...

— A cóż to woda w tym dzbanie tak strasznie cięży, moja kobiecino? Toć chyba nie wodę przynieśliście, matko, w tym dzbanie...

— Deszczu trochę nazbierałam i jakoś do progu doniosłam dzban łatwo... Ino skoro postawiłam go na waszym progu, tak mi zaciężył naraz, że dalej sama nie mogę...



A. Kaulbach. **Tajemnice.**

— Ola Boga! Toć to nie woda w tym dzbanie! Matko... toć to sam miód!

— Ano, kiedy miód... to go sobie nabierajcie i jedzcie sobie i sami oboje i ten chłopaczek... coście go przytulili... jedzcie we troje... a do śmierci nikomu z was nie zabraknie niczego i miodu tego nie ubędzie z dzbana!... Bóg wam zapłacił, moi zacni ludzie, za wasze serca dobre... Bywajcie mi zdrowi... Dziękujemy za gościnę... Zostańcie z Bogiem, który ma was w opiece swojej i ocaliwszy was od powodzi, da wam urodzaj tego lata... Bóg łaskaw! Prawda, mój synaczku, prawda Jezusku?...

I poszła Marya dalej z Dzieciątkiem na ręku w świat między ludzi...

Kazimierz Kalinowski.

MŁÓCKA.

Dudni echem w zagrodzie
Aż oddają obórki!
To w Stachowej stodole
Biją młocki do czwórki:

Na dwie strony snop żytni
Rozciągnięty pokotem;
Furczą w górze bijaki,
Uderzając jak młotem!

Łupu! cupu! Stach z Józwą —
Cupu! łupu! Jaś, Grzela...
Co uderzą — to ziarno
Popod gonty wystrzela!

Zrazu lekko po kłosie
A po knębiu z rozmachem,
Bije Janek i Grzela,
Bije Józwa ze Stachem.

Raz i drugi „posadem“
Przeszli z prawa i z lewa...
Ścięli słomę na sieczkę!
Nie ostała i plewa!

Będzie miało do syta!
Jeno wytrząść kłociaki...
Obracając cepami,
Podkładając dzierżaki.

Wzięli w górę na kije,
Trzęsą społem na siano!

Najprzód długie źdźbła proste,
Potem słomę targaną...

Czasem między badyle
Zawieruszy się ziarno
Jeszcze cepem po wierzchu,
Tylko z góry a śwarno!

Łupu! cupu! Stach z Józwą —
Cupu! łupu! Jan z Grzelą...
Podsypało niezgorzej!
Aż się oczy weselą!

Będzie z czubem dwa korce
Jak „wywieje" do czysta!
Na bok cepy! Za grabie!
Wre robota siarczysta!

Józwa szuflą podgarnia
Grzela zmiata z boiska;
Usypali dwie kupy,
Kieby jakie mrowiska!

Stacho wrotni uchylił:
Czy wiatr dobry zaleci?
Ciągnie... — Sypta chłopaki!
Póki słońce wam świeci!

Sypie Józwa z mańkuta,
Sypie Grzela z prawicy,
Janek „zczynia" pomietkiem,
Niczem baba w świetlicy.

Pada zboże półkolem
Jak grad z chmurnej ulewy —
Wietrzyk polny oddziela
Czyste ziarno od plewy!

Wśród derwiszów
w Konstantynopolu.

Bawiłem w Konstantynopolu.

Zwiedziwszy osobliwości tego jedynego w swoim rodzaju miasta, o którem Byron zawołał w ekstazie, że nigdzie w świecie nie doznał tak podniosłego, jak w niem wrażenia, zapragnąłem spędzić chwil kilka w gronie jego derwiszów, będących czemś w rodzaju potężnego magnesu dla każdego z przebywających nad Złotym Rogiem cudzoziemców.

Rzecz szczególna — wschodnia część Konstantynopola, która ma być w stolicy następców kalifów Europą, która dla niewybrednych podróżników Europą nawet jest, będąc w rzeczywistości dziwnym jakimś konglomeratem ludzi i murów, bez wyrazu, bez barwy, bez tonu, gdzie Turek nie czuje się u siebie w domu, bo go zewsząd podmywają obce fale, ale gdzie i Europejczyk słusznie się widzi, jak gdyby na popasie, — posiada w swojem wnętrzu to właśnie, czego niedostaje Stambułowi, a co jest przecież wielką osobliwością świata, którego Stambuł jest słońcem i metropolią.

Posiada klasztory derwiszów.

Wprawdzie kiedy się w Stambule znajdziesz, kiedy zwłaszcza, pragnąc poznać się z Ejubem, przedmieściem jego świętem, z dominujących ponad nim pagórków zejdziesz na jego brudne ulice, spotykasz ich niekiedy, ale w Stambule są oni jedynie gośćmi, żebrząc o jałmużnę, odstraszając swoim wyglądem, tu przecież są u siebie w domu, mają klasztory, w których spełniają swoje religijne praktyki, modlą się do Pana publicznie i głośno. Klasztory te, w dni piątków i niedziel stoją dla wszystkich otworem, na jasnem słońcu odbywają się w nich ceremonie, jakich się w Stambule nie widzi. Europa więc, która tu w tem miejscu jest gościem, ma możność przyjrzenia się im zbliska, zapoznania się z obrzędami, przy których pomocy najprawowierniejsi z prawowiernych oddają chwałę Bogu.

I będąc wielką osobliwością, te ich klasztory są tu jednocześnie i magnesem dla wszystkich, dodają koloryt pstremu obrazowi, który jest w tem miejscu przed oczyma, roztaczają dokoła niego niezwykłą jakąś atmosferę, zestrzelają w sobie interes całej tej części kolosalnego grodu.

I jest to rzeczywiście znamiennem, że gdy w tej europejskiej dzielnicy Konstantynopola nic, co tchnie prawdziwą Europą, oczu do siebie nie przykuwa — nic, co stanowi chlubę jej kultury, głowy przed sobą nie skłania, — dwa starotureckie domy boże, przybytki głębokiego pietyzmu, a jak chcą niektórzy — nawet fanatyzmu, wydzielają się z niej wyraźnie, przejmując umysł zainteresowaniem niezwykłem, marszcząc czoło śladem zadumy głębszej.

Ale korzystajmy z tego, że wrota tych osobliwych klasztorów stoją właśnie otworem — wstąpmy do nich i, wmieszani w tłum ciekawych, w skupieniu ducha, z jakiem każdy, kto myśli i czuje, uczestniczy w praktykach religijnych każdego bez wyjątku wyznania, przyjrzyjmy się im uważnie.

Jest właśnie piątek, dopiero-co odbyła się uroczystość selamliku, podczas której sułan ukazał oblicze swoje wiernym i giaurom, — tuż niedaleko hotelu, w którym mieszkamy, derwisze tańczą; idźmy tam, by wziąć udział niemy w obrządku religijnym, którego celem jest chwała Pana na wysokościach.

Derwisze tańczą.

W głębi murów odrapanych i brudnych, ustronny klasztor.

Zimny i biedny, jak świątynie wszystkich wyznań w tej Perze.

Na podwórzu w grupach milczący ludzie, we wrotach w zawoju stary Turek.

Wyciąga do nas rękę po bakczisz, i wprowadza do niewielkiej ciemnej sali, z głębi której dochodzą nas melancholijne dźwięki fletu.

Sala ma galerye u góry i u dołu, a w jej środku niewielkie koło, przypomina arenę cyrkową. Na galeryach na górze i na dole tłumy ciekawych, cisza jednak panuje głęboka, i tylko smętny ton fletu dochodzi z głębi areny do naszych uszu, gdy roztwieramy szeroko oczy, by w półmroku, w jaki się z jasnego światła dostaliśmy, rozeznać rzeczy i ludzi.

Derwisze tańczą.

Ubrani w długie szaty zielone, w szarych kołpakach na głowie, unieśli właśnie ku górze ręce, i przymknąwszy powieki, kręcą się w takt melodyi, cichej i smętnej. Zrazu zwolna, potem coraz prędzej, nareszcie z szalonym pośpiechem, wirują w kółko jeden za drugim, podobni nie do ludzi, jeno do automatów, co nakręcone biegłą ręką, dopóki nie odkręci się sprężyna, wprawione zostały sztuką w ruch.

I robią też wrażenie automatów, i w tej ciemnicy nie na ludzi też żywych; patrzą, są czemś, co istot zmysłowych nie przypomina, co nie jest zaiste z krwi i kości.

Oblicza wynędzniałe długim postem, oczy zagasłe i martwe, ciała wychudłe, na których szaty zwieszają się jak na deskach, nie wydzielają się ze swego otoczenia, ale wraz z niem zdają się stanowić jakby jedną spójną całość. Nie dostrzegasz też pomiędzy nimi żadnej indywidualności, niczego takiego, coby zdradzało, że każdy z nich, oddzielnie wzięty, czuje i myśli, są masą bierną, karną, niemą, którą porusza jedna wola.

I w tej masie giną też w zupełności, nikną pod strychulcem zacierającym pomiędzy nimi wszelkie różnice, są kółkami jednej maszyny, funkcyonują w niej z zimną prawidłowością kółek.

Taniec trwa niecałą godzinę.

Znużeni wirowaniem, wpadają powoli w stan odrętwienia, kręcą się jeszcze, ale już ospalej i wolniej, na ich bladych twarzach ukazują się ślady wyczerpania.

Nareszcie smętna melodya fletu nagle się urywa, stary derwisz, wybijający takt nogą, oddaje tańczącym u-

kłon, a następnie, podchodząc ku nim przyciska każdego do swojej piersi.

Galerye na górze i na dole opróżniają się powoli, odźwierny Turek zamyka drzwi klasztorne, i na cały już tydzień zalega w nim cisza grobowa, którą w następny dopiero piątek przerwie taki sam taniec, takie same tony

sze wyjący. Zajmują oni klasztor na przeciwległym krańcu miasta europejskiego, i co niedzielę dozwalają wszystkim ciekawym być widzami swej ceremonii. A że ceremonia ta jest niezwykła, że charakterem swoim wyróżnia się o wiele od tej, w jakiej uczestniczyliśmy przed chwilą, przeto co

Nagle milkną ale po chwili, zaledwie szejk, mistrz ceremonii, ukończy głośne modły, rozpoczynają swój chór na wowo.

Przygrywa im muzyka, jak tam smętna, tylko w dominujących w niej tonach fletu, ucho rozróżnia dźwięki hałaśliwych od fletu instrumentów.



I. Doyly. **Z połowu.**

fletu i takie same wybijanie taktu nogą przez starego derwisza.

Tak było wczoraj, tak jest dziś, i przeminie w tej Perze wiele rzeczy, zmieni się w niej stosunków wiele, a tu tak pozostanie.

I tłumy obcych wiarą ludzi płynąć tu w dni ceremonii ciągle już będą i, uczestnicząc w obrządku niezwykłym, wynosić ztąd wrażenia niecodzienne, przyznając w duchu, że w tej kosmopolitycznej i bezbarwnej Perze, wrażenia te należą do podnioślejszych.

Derwisze tańczący stanowią jeden odłam tej mahometańskiej korporacyi religijnej.

Drugim, skrajniejszym, są derwiniedzielę zbiera się tam ciekawych o wiele więcej.

Sala okrągła, tylko biedniejsza od tej , w której znajdowaliśmy się kilka dni temu. Takie same galerye na górze i na dole, taka sama arena pośrodku. Na arenie kilkanaście skórek baranich, a na nich kilkunastu modlących się w skupieniu. Gdy wchodzimy, kiwają się w milczeniu, po chwili przecież unoszą głowy do góry, i zapatrzeni w sklepienie, zaczynają zawodzić jakąś pieśń.

Śpiewają długo, przeciągle, jednostajne, powtarzają bezustanku jedne i te same wyrazy, całem ciałem pochylają się ku ziemi.

Urozmaica to tę ich muzykę, odejmuje jej jednak ten charakter bezbrzeznej melancholii, jaki miała tam.

Te ich pienia głośne, smutne, łzawe, zdające się nie prosić o nic Boga, tylko żalić Mu się na niedolę na świecie, trwają długo. W skupieniu ducha, recytując święte wiersze koranu, przygotowują się kołysani ich melodyą do najważniejszej części swojej ceremonii.

Wszyscy wyczekują właśnie na tę ceremonię, jest tu ona bowiem kulminacyjnym punktem, zestrzelającym w sobie interes wszystkich.

Nareszcie chwila jej nadchodzi, flet milknie, i tylko o puste ściany obija

się już głucho zamierające ostatnie jego tonów echo.

Oczy nasze zwracają się w stronę wgłębienia sali, gdzie stał szcik, ich duchowny naczelnik. Przybliża on się ku nam poważnym krokiem teraz, i skrzyżowawszy ręce na piersiach, umieszcza w jej środku. Przed nim stają ci, których śpiewów byliśmy właśnie świadkami, i na dany przez niego znak, rozpoczyna się obrzęd wycia.

Wyją powoli, głucho, przeciągle.

Słyszy się to, wierzyć się temu jednak nie chce. Przecież wyją. Nie ludzkie, lecz zwierzęce tony wychodzą z ich piersi; nie mowa, jeno szczekanie wydobywa się z ich ust.

A wyjąc, wykonywują gorączkowe ruchy połową całego ciała, nie z góry przecież na dół, jak przy modlitwie, ale z lewej w prawą stronę.

Te jednostajne, choć coraz głośniejsze, tony wycia, te gwałtowne, przecież miarowe, poruszenia ich ciał hypnotyzują wszystkich patrzących, wpada się w stan jakiegoś słodkiego rozmarzenia, zapomina o tem, co jest przed oczyma, czuje się przecież wyraźnie, że się jest w miejscu, gdzie chwała Boga jest pragnieniem wszystkich serc.

I nie doświadcza się uczucia wstrętu, choć nie ponętną jest ta ceremonia, nie jest się przejętym zdziwieniem, chociaż dziwnej praktyki jest się świadkiem; rozpościera się dokoła nas, zapatrzonych na nich uważnie, jakaś atmosfera duchowości, bo się czuje, że duch nieskończony hołdy w ten sposób i w tem miejscu odbierze.

I na myśli stają w tej chwili wszystkie obrządki religijne całego świata, których drogą ludzie różnych klimatów, języków i wiar oddają chwałę Nieśmiertelnemu, i w różnolitości tych wszystkich obrządków widzi się właśnie, nie objawy, jak chcą niektórzy, obłędu, ale namiętną potrzebę każdego człowieka, uczczenia, sposobem zastosowanym do jego pojęć, uczuć i kultury, źródła wszechżycia, a zarazem i pociechy we wszechnieszczęściu.

I w skupieniu już ducha głębokiem, ze wzruszeniem, budzącem ze snu obojętności wszystko, co jest w naszem wnętrzu szlachetniejszego, woła się w ekstazie poruszonego serca, do Tego który i tu króluje:

— Jakkolwiek Cię ludzie rozumieją, jakkolwiek czczą, czy zwą cię Bogiem, Jehową, czy Allachem, święć się Imię Twoje...

Stanisław Bełza.

Z chwili.

Z powodu unieważnienia mandatów poselskich dzielnych naszych szermierzy parlamentarnych *pp. Jana Brejskiego i Wojciecha Korfantego* odbędą się wybory uzupełniające:

a) w Prusach Zachodnich w okręgu wyborczym toruńsko-chełmińsko-



Poseł Jan Brejski.

wąbrzeskim do parlamentu niemieckiego *dnia 7-go września r. b. Kandydatem naszym poleconym przez prowincyonalny Komitet na Prusy Zachodnie i Warmię jest p. Jan Brejski z Torunia.*

b) na Górnym Śląszku w okręgu wyborczym katowicko-zabrskim do parla-



Poseł Wojciech Korfanty.

mentu niemieckiego *dnia 12-go października r. b. Kandydatem naszym poleconym przez polski Komitet wyborczy dla Śląska jest p. Wojciech Korfanty z Katowic.*

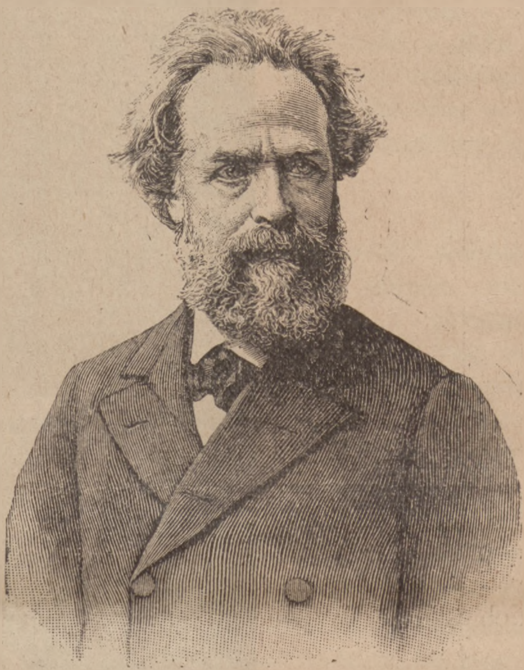
Nowe zatem czekają nas zapasy. Wytężmy siły i nie dajmy sobie wydrzeć tych dwóch okręgów wyborczych. Nasz zapał, wytrwałość i dzielność przyczynią się do odniesienia zwycięztwa, któremu przyklaśnie cała Polska! *—ski.*

Z teki tetryka.

Jeżeli cię zawiść ludzka kąsa, stój spokojnie, pewny na to, że psy kąsają ***tylko uciekających.***

† Elizeusz Reclus.

W Thourot pod Brukselą, zmarł *Elizeusz Reclus.* Była to jedna z najcharakterystyczniejszych postaci, jakie wydała nasza doba — agitator wywrotowy i apostoł nauki w jednej osobie. Syn pastora protestanckiego, urodził się we Francyi w departamencie Girondy w r. 1830. Studyował najprzód teologię, ale zetknąwszy się w Berlinie z Karolem Ritterem, przeszedł na wydział filozoficzny i obrał sobie geografię za przedmiot studyów. Prace nau-



† Elizeusz Reclus.

kowe szybko nadały nazwisku jego rozgłos. Równocześnie oddawał się żarliwie działalności politycznej. W roku 1851 po znanym zamachu stanu, musiał uchodzić do Anglii, a następnie do Ameryki. Powrócił do Paryża dopiero podczas wojny francusko-pruskiej, wstąpił do szeregów gwardyi narodowej i uczestniczył w walkach Komuny. Za gwałtowny artykuł przeciwko rządowi skazany został na deportacyę i tylko wstawieniu się całego nieomal świata naukowego Francyi, zniesiono tę karę na wygnanie. Rozpoczął więc na nowo tułaczkę. Przebywał kolejno w Lugano, potem w Clarens nad jeziorem genewskiem, aż w r. 1882 przeniósł się do Brukseli, gdzie ofiarowano mu w uniwersytecie „wolnym" katedrę geografii.

Z dzieł naukowych Reclusa najwięcej popularności zdobyła sobie „Nouvelle geografie universelle". Potomność przebaczy Reclusowi, że w labiryncie polityki zabłąkał się na manowce, a zachowa tylko w pamięci genialną jego działalność naukową, która na najwyższe zasługuje uznanie. Coraz rzadziej w dziedzinie wiedzy **spotyka się umysły, zdolne objąć jej**

całokształt, rosną tylko zastępy monografów. Jednym z ostatnich, którzy mieli odwagę i zdolności po temu, by przedstawić całą ziemię, był Elizeusz Reclus. X.

Ze świata odkryć i wynalazków.

Kłopoty astronomów.

Pomiędzy najbliższym sąsiadem ziemi, Marsem, a potężnym Jowiszem krąży w przestworach rój drobnych planetek, które, według niektórych astronomów, są szczątkami większej planety, rozbitej na szczątki z powodu jakiejś katastrofy, albo, jak chcą jeszcze inni, pierścieniem materyi, która nie zdołała dla niewiadomych powodów zlać się w jedną bryłę. Przez długi czas nie wiedziano wcale o istnieniu tych ciałek niebieskich. Pierwszą drobną planetę odkryto w roku 1801 i nadano jej nazwę Cerery. Odkrycia tego rodzaju mnożyły się nadzwyczaj szybko i w ostatnich czasach doszły pokaźnej liczby, bo trzystu kilkudziesięciu. Astronomowie, którzy należą do ludzi niezmiernie sumiennych i lubiących ścisłość w obserwacyach, jak i wszyscy uczeni, podjęli mozolną pracę określenia wielkości nowoodkrywanych ciał niebieskich i wyznaczania ich dróg okołosłonecznych. Nie potrzebujemy chyba tłómaczyć, że praca taka pochłania bardzo wiele czasu i wymaga nadzwyczajnej cierpliwości.

Z początku jednak astronomowie spełniali bez szemrania trudne zadanie, chociaż nie upłynął rok, żeby ktoś nie odkrył nowej asteroidy i nie przysporzył im roboty. Często nawet w ciągu roku trzeba było obliczyć drogi kilkunastu planetek! Chcąc sprostać nawałowi pracy, obserwatorya europejskie i amerykańskie podzieliły się trudami, rozebrawszy pomiędzy siebie okolice nieba. Aliści w ostatnich czasach sprawa przybrała całkiem niespodziewany obrót: oto niemiecki astronom p. Wolff wpadł na pomysł zastosowania fotografii do badania i wyszukiwania asteroid nieznanych. Sposób ten okazał się nie tylko dobrym, ale nawet za dobrym.

Obserwator heidelberski w przeciągu 8 miesięcy odkrył bowiem aż 30 nowych planetek! Z początku zazdrośni koledzy starali się konkurować z Wolffem, ale ten nie pozwolił na to i wyprzedził wszystkich. W końcu astronomowie dali za wygraną i pozostawili swemu zręcznemu koledze monopol odkrywania nowych asteroid.

Pozostawszy sam jeden, p. Wolff prowadzi dalej swoje badania z niesłychaną wytrwałością, tak, iż ostatecznie doprowadził do rozpaczy cały świat astronomiczny.

Obserwatoryum berlińskie podjęło się obliczać kalendarze astronomiczne dla nowych planet, których drogi już zostały wyznaczone i wpadło w prawdziwą pułapkę: Ponieważ takie kalendarze, w których jest oznaczone położenie ciał niebieskich na każdy dzień w roku, trzeba układać corocznie, przeto astronomowie berlińscy ujrzeli się, dzięki Wolffowi, zawaleni robotą najniewdzięczniejszą w świecie. Cóż bowiem nauce przyjdzie ostatecznie z tych mozolnych i stereotypowych obliczeń? Zapewne niewiele.

Ofiarami genialności Wolffa są także astronomowie z Paryża i Greenwich, którzy wzięli na siebie obserwowanie drobnych planet w nocy, pierwsi podczas księżyca cofającego się. Wobec rosnącej wciąż liczby tych ciał niebieskich, spostrzeżenia takie są niezmiernie uciążliwe i biedni astronomowie angielscy błogosławią w głębi ducha mgłę ojczystą, pozwalającą im na odpoczynek od czasu do czasu.

„Bureau des Longitudes" ogłaszające corocznie elementy orbit asteroid, jest także w wielkim kłopocie. Wprowadziło ono już pewne skrócenia, ale pomimo to nie może sprostać zadaniu i ma zamiar zrzec się pracy, przekraczającej siły ludzkie.

Astronomowie przestali nieco interesować się asteroidami, ktore im sprawiają taki kłopot, gdy w tem odkryto nową planetkę niezmiernie ciekawą z tego względu, że krąży dookoła słońca pomiędzy Marsem a naszą Ziemią. Planetkę tę nazwano Eros i obecnie astronomowie starają się jak najdokładniej oznaczyć jej odległość od nas. Ponieważ jest tu pożądaną najwyższa możliwa ścisłość, przeto obserwacye są prowadzone nadzwyczaj sumiennie. Odkrycie to dowiodło, że tajemniczy pierścień asteroid sięga aż do przestrzeni między Ziemią a Marsem się znajdującej, czego się do niedawna nie domyślano. Z.

Gdy fale zbóż . . .

Gdy fale zbóż kołyszą się na niwie,
Gdy szumią lasy od wietrzyka tchnień,
Kiedy się owoc tuli pieszczotliwie
Pod zielonego listka słodki cień . . .

Kiedy kroplami rosy operlona
Konwalia chyli ku mnie biały kwiat,
Gdy złote słońce tryska z mroków łona,
Lub gdy się do snu kłoni cały świat . . .

Gdy zdrój, co wody swe z oddali toczy,
Pogrąża myśli w jakimś smutnym śnie,
O swej ojczyźnie szczęsnej i uroczej,
Szczebiocąc dziwy na przepaści dnie —
O wtedy pierzcha z duszy ból i trwoga . . .
Wracają znowu roje dawnych złud,
Zaczynam wierzyć w mego szczęścia wschód
I śród błękitów widzę Boga.

Z. M. Lermontowa przełożył W. Nawrocki.

Srebrny jubileusz
„Koła Śpiewackiego" w Śremie.

Śrem nie był zapewne jeszcze świadkiem tak pięknej uroczystości śpiewackiej, jaka w ubiegłą niedzielę się tamże odbywała. Miasto też pięknie w zieleń i girlandy się przystroiło na tę chwilę, ażeby przyjąć gościnnie śpiewaków, którzy z różnych stron dalszych i bliższych przybyli. Już w sobotę przyjechali śpiewacy z Berlina w pokaźnej liczbie, a także nadobne Berlinianki polskie nie szczędziły trudu podróży z Berlina do Śremu. W sali pani Sałacińskiej skoncentrowało się główne życie zjazdowe. W niedzielę z rana uformował się piękny pochód śpiewaków i śpiewaczek do świątyni Pańskiej, aby z Bogiem zacząć uroczystość i prosić Boga o dalsze błogosławieństwo dla zbożnej pracy śpiewackiej. Mszą św. w kościele farnym odprawił ks. prałat Wawrzyniak założyciel śremskiego Koła śpiewackiego. Podczas mszy św. wykonano z chóru piękne pieśni chórowe. Obszerna świątynia nie mogła objąć wszystkich uczestników, tak iż wielka część stała na cmentarzu. Po odprawionej mszy św. wstąpił na ambonę ks. Zakrzewski, proboszcz z Golejewka, a dawniejszy prezes Koła śremskiego i we wymownych krótkich słowach przemówił naprzód do okalających ze sztandarami wielki ołtarz śpiewaków, a szczególnie wspomniał srebrny jubileusz śpiewacki Koła śremskiego i nawoływał do pielęgnowania pieśni ojczystej. Serdeczne słowa rozrzewniły panów śpiewaków i z otuchą w sercu na lepszą przyszłość pokrzepieni na duchu opuszczali śpiewacy mury świątyni, po za którą uformował się długi pochód z muzyką na czele. Pochód przedstawiał barwny widok. Na czele niesiono wspaniałą lirę z oznaką 25-letniego jubileuszu, poczem powiewał szereg sztandarów różnych Kół śpiewackich. Pochód był tem barwniejszy, iż brały w nim udział panie śpiewaczki, a co więcej włościanie w pięknych polskich sukmanach oraz wiejskie dziewoje z nutami w rękach, ten najnowszy dorobek kół śpiewackich. Wnosić ztąd można, że nuta polska nie zaginie, kiedy zrozumieli jej pielęgnowanie pod strzechami wieśniaczemi. Mógł się radować duch Mickiewicza wołający za życia

„o żebym dożył tej pociechy, aby te księgi zbłądziły pod strzechy.“ Stało się to, bo księgi i piosnki polskie już nie błądzą, ale otwartem korytem płyną do chat wieśniaczych.

Niezwykły ruch i życie zapanowało w lokalach zjazdu, gdy pochód śpiewacki w nich stanął. Biuro informacyjne, złożone z kilku panów, miało ożywioną czynność, ażeby pozaciągać przybyłych śpiewaków, rozdzielić im kwatery, które gościnni obywatele śremscy zapewnili dla drużyn śpiewackich przybyłych z dalszych stron.

Po małem wytchnieniu rozpoczęło się uroczystościowe posiedzenie wśród pełnej sali śpiewaków i śpiewaczek. Sędziwy, a pełen zapału do pracy obywatelskiej prezes Koła śremskiego p. Kucharski zagaja zebranie witając mile uczestników zjazdu i daje krótki pogląd na 25-letnie dzieje i prace Koła śpiewackiego w Śremie. Podnosi ważność pielęgnowania pieśni po Kołach śpiewackich i raz jeszcze wita ciepło wszystkich zebranych uczestników.

Następnie dawniejszy prezes ks. Zakrzewski przy stósownej przemowie wręcza sześciu jubilatom medale pamiątkowe, którzy od początku założenia należeli i wytrwali w Kole śpiewackiem. Do tych jubilatów należą: ks. prałat Wawrzyniak, obecny prezes pan Kucharski, dawniejszy dyrygent p. Kozłowski, wiceprezes p. Zwierzchowski i pp. Madaliński i Aleks. Biernacki. Szan. mówca chwaląc wytrwałość jubilatów, stawia ich na wzór, prosząc ich, aby nie tracili ducha, ale nadal wytrwali w tej pracy i wnosi na ich cześć trzykrotny okrzyk, który z pełnej piersi uczestników silnem echem powtórzono.

W imieniu Związku Kół Śpiewackich, a w zastępstwie bawiącego na kuracyi prezesa Związku, przemawia wiceprezes p. Trynkowski z Poznania, wyrażając radość z powodu 25-letniego jubileuszu Koła śpiewackiego w Śremie i podnosząc jego wytrwałość w pracy i męstwo w znoszeniu różnych przeciwności, jakie każde towarzystwo ma do znoszenia. Małe Kółko się zawiązało, a dziś rozrosło się w poważne Koło, które ma w sobie odpowiednią siłę, aby w dniu swych srebrnych godów nas śpiewaków tak wspaniale przyjąć. Kochany jest ten Śrem, ci obywatele, którzy już przed ośmiu laty nas szczerze i serdecznie przyjmowali, tak jak dzisiaj.. Zapatrzmy się na śremskie Koło śpiewackie, jak trzeba pracować i walczyć, aby Towarzystwo przez 25 lat w pełnej sile utrzymać. W ciągu takiego czasu to wielu się zniechęci, zobojętnieje do pracy towarzyskiej, ale pozostaje garstka, która powiada sobie: póki życia, póki śpiewu, a mamy tutaj kilku takich weteranów, których co dopiero uczciliśmy, którzy niech nam będą wzorem, cześć więc śpiewakom, cześć założycielom. Niech Koło śpiewackie rośnie, kwitnie i rozmnaża się w długie lata i doczeka się 50-letniego jubileuszu! Gromki okrzyk zakończył mowę wiceprezesa.

Poczem w imieniu Koła Śpiewackiego w Środzie jeden z delegatów średzkich wręczył ślicznie wykonany dyplom w dowód uznania 25-letniej pracy Kołu śremskiemu, życząc wszelkiej pomyślności na przyszłość, a swe życzenia zakończył stósownym wierszem do pieśni. Prezes p. Kucharski rozrzewniony tym upominkiem, podziękował z głębi serca za tak niespodziewany dar, który jest dowodem łączności dwóch sąsiedzkich Towarzystw śpiewackich. Obraz ten będzie bodźcem zapewnił prezes Koła śremskiego do dalszej pracy na polu śpiewu ojczystego.

W końcu wiceprezes p. Zwierzchowski wskazał na porządek, jaki się odbędzie po południu przy śpiewach na Strzelnicy i zakomunikował tę smutną wieść, że w programie zapowiedziany pochód na Strzelnicę został zakazany, bo jakby się to bez zakazów u nas obyło. Żałowano bardzo, że wspaniałego widoku pochodu nie będzie można oglądać, ale pogodzono się z tym faktem, bośmy już niejako przyzwyczajeni do przeróżnych zakazów, lecz to dobrego humoru nie popsuło.

Po godzinie 12-tej w południe odbyła się próba ogólnych chórów pod dyrekcyą p. Guzikowskiego z Ostrowa, który z wszelką energią kierował śpiewami, wskazując na różne niedobory.

Po godzinie 3-ciej zaroiła się droga do Strzelnicy publicznością płci obojga. Pieszo i powózkami udawano się do miejsca popisowego. Koncertowała kapela polska pod dyrekcyą p. Poniećkiego, a wywiązała się dobrze, sądząc po oklaskach oddawanych. Przed rozpoczęciem śpiewów odfotografowano z estrady wszystkich śpiewaków i śpiewaczki, co przedstawiało piękny widok. Śpiewy rozpoczął ogólny chór męzki: „Polonezem jubileuszowym,“ dyrygował p. Guzikowski. Śpiew wypadł można powiedzieć świetnie. Następnie popisywały się poszczególne Koła śpiewackie. Berlin rozpoczął współzawodnictwo, stanęło sporo śpiewaków. Wykonanie jednakże nie wypadło tak, jak to Berlin zwykł był się popisywać, ale oklasków nie szczędzono, bo utwór też był trudny.

W dalszą ocenę pojedyńczych śpiewów nie będziemy się dzisiaj wdawali, to tylko możemy powiedzieć, że nuta narodowa rozbrzmiała w całej pełni o śremskie pola i lasy ku ogólnemu zadowoleniu. Szczególnie oklaskiwano chór naszych poczciwych wieśniaków z Wilkowyi, który dziarsko odśpiewał „Chłopek ci ja chłopek,“ a również huczne oklaski posypały się wiejskim dziewczętom z Czarnkowa-Nasławia i podziwiano czyste głosy dziewcząt, udatnie bowiem odśpiewały cudne śpiewy z „Bukietu melodyi polskich.“ Serce się radowało, że nasz lud tak ochoczo garnie się do uprawiania pieśni. W śpiewach brały bardzo liczny udział panie, co także jest postępem w naszych usiłowaniach w krzewieniu nuty ojczystej. Paniom należy się wielkie uznanie. Z ogólnych popisów podnieść należy Jeżyce, Kościan, Dolsk; w artystycznem wykonaniu górował tym razem Poznań, i po całym ogrodzie ogólne uznanie śpiewakom poznańskim wyrażono.

Z nastaniem zmierzchu udano się na salę pani Sałacińskiej, gdzie się odbyła zabawa. Zjazd połączony z jubileuszem można powiedzieć udał się świetnie i pozostanie uczestnikom na długie lata w pamięci. Cześć Śremiakom, że przyczynili się w dzień swego jubileuszu do tak pięknego zjazdu śpiewackiego.

Przed tańcami ogłoszono na sali sąd o wykonaniu. Pierwszą premię pozyskał Bydgoszcz od Koła śremskiego. Pierwszą premią od Związku odebrał Poznań, a drugą Charlottenburg na chóry męskie. Na chór mięszany odebrał premię Berlin. „Halka“ jeżycka otrzymała pierwszą pochwałę. Przemawiał w imieniu jury ks. Zakrzewski. Przemawiali jeszcze pp. Trynkowski, Witecki i Zwierzchowski.

Zlot Sokołów.

W ubiegłą niedzielę odbył się w *Szczakowej (w Galicyi) IV. zlot okręgu ślązkiego Sokołów polskich w państwie niemieckiem*, z współudziałem Sokołów okręgu krakowskiego, którzy w bardzo pokaźnej liczbie przybyli z Krakowa, Podgórza, Chrzanowa, Jaworzna, Oświęcimia, Frysztatu i Dziedzic, a znakomitemi swemi ćwiczeniami wprost w zachwyt wprawiali widzów. Również ćwiczenia naszej ślązkiej drużyny sokolskiej wypadły dobrze, przyczem oczywiście uwzględnić należy smutne warunki, w jakich sokolstwo nasze się znajduje. Rok ubiegły był pod tym względem szczególnie niepomyślny, i tem też należy tłomaczyć sobie niższą w obecnym roku liczbę ćwiczących w zlocie obecnym aniżeli przed rokiem, lecz pomimo tego drużyny nasze wykazały, że duch so-

kolski w nich nie zamiera, lecz wzrasta stale.

Pogoda dopisała najzupełniej, więc też udział publiczności był bardzo liczny; ze Śląska przybył tysiączny tłum, a również z Królestwa Polskiego i Galicyi uczestniczyły liczne zastępy zwolenników idei sokolej.

W następnym numerze rozpiszemy się obszerniej o tej wzniosłej i pięknej uroczystości, która zapewne każdemu z uczestników w miłej zostanie pamięci.

SKŁADKA.

— **Na suchotnika „Sokoła“ w Zakopanem** złożyli w dalszym ciągu: pani Potworowska z Bożejewic 20 mrk; p. M. Zabłocki z Poznania 5 mrk; p. K. Maliski, aptekarz ze Szubina z życzeniem „Szczęść Boże“ 2 mrk. 5 fen; 2 Sokoli i 1 Śpiewak z Kujaw 1 mrk. 50 fen; zebrano na miesięcznem posiedzeniu „Sokoła“ nakielskiego przez prezesa p. Zygmanowskiego z życzeniem: oby druhowi suchotnikowi Pan Bóg raczył zdrowie przywrócić — 11 mrk.

Razem złożono na cel powyższy do dnia 21-go b. m. włącznie 229 mrk. 41 fen.

O dalsze datki gorąco prosimy.

Wiadomości,

— **Nasz proces** o artykuł p. t. „Jak najmniej oficerów“ odroczyła znów tutejsza Izba karna feryjna w dniu 21 go b. m. z powodu niestawienia się świadka, radzcy zdrowia, p. dra Zielewicza, bawiącego u wód dla poratowania zdrowia, na wniosek oskarzonego *redaktora p. Bolesława Rakowskiego*.

Wnioskowi o odroczenie procesu był przeciwny prokurator p. Schoenfeld; również przewodniczący, dyrektor sądu ziemiańskiego, p. Felsmann, oświadczył się przeciw odroczeniu, atoli sąd poszedł na naradę i przychylił się do wniosku oskarzonego.

— **Jeszcze tylko trzy dni** i to do 30-go sierpnia wyłożony będzie spis obywateli uprawnionych do głosowania przy wyborach do Rady miejskiej w starym ratuszu na sali posiedzeń B. (I piętro, wchód z galeryi) codziennie od godz. 8-mej rano do 3 ciej po południu. W tym czasie może każdy obywatel uprawniony do głosowania, a niezapisany, stawić wniosek o uzupełnienie spisu. Późniejszych zażaleń nie uwzględnia się.

Niechże więc opieszali nie zaniedbają w tych ostatnich trzech dniach obowiązku przejrzenia spisu i niech przekonają się, czy nazwiska ich są zapisane i to poprawnie. Komu czas nie pozwoli, niech się każe wyręczyć; jedna osoba może przejrzeć cały szereg nazwisk, urzędnicy muszą na to zezwolić.

Pilnujmy się tedy wzajemnie, bo od dokładnego przejrzenia spisu wyborców zależy nasze zwycięztwo w dniu wyborów.

— **Niemczyzna oznacza kulturę, wolność dla każdego** — powiedział cesarz. Tymczasem wolność, jaką my Polacy w Prusach się cieszymy, na każdym kroku bywa uszczuplaną. Wie o tem dziś już każde dziecko polskie.

Jak donosi *„Dziennik Kujawski“*, zamierzało inowrocławskie Towarzystwo kupców i młodzieży kupieckiej urządzić w ubiegłą niedzielę — jak corocznie — publiczną zabawę u p. Bykowskiego w Mątwach. Zabawę tę w ostatniej chwili komisarz *zakazał*, a landrat, do którego się odwołano, zakaz ten potwierdził.

W Lisewie w powiecie toruńskim zakazany został wiec przedwyborczy bez podania powodu. Komitet wyśle zażalenie do wyższej władzy.

Wiec wyborczy na Mokrem pod Toruniem rozwiązał komisarz kryminalny p. Weigt z Torunia ze *względu na godzinę policyjną. (?!)* Wywołało to ogólne oburzenie i rozdraźnienie obecnych, gdyż w lokalach, które służą na zebrania naszym przeciwnikom, godzina policyjna nie jest na przeszkodzie zebraniom, bo takie lokale mają zwykle konsens do późnej godziny. Kawiarnie, piwiarnie i winiarnie, odwiedzane tylko przez ludzi bogatych, bywają otwarte do drugiej w nocy lub do rana, a robotnikowi, który dzień cały pozostaje przy pracy i tylko wieczorem radzić może o swoich potrzebach, staje w drodze godzina policyjna.

Również zakazany został wiec polski w Königs-Wusterhausen pod Berlinem. Policya twierdziła, że nie ma tłómacza, któryby mógł dozorować zebranie. Jak wiadomo, podług prawa nie jest to wcale powód do zakazywania zebrań. Aleć wobec Polaków widocznie wszystko jest dozwolone. Komitet Polityczny w Berlinie poczynił odpowiednie kroki.

— **Dar dla rodaków na obczyźnie.** Pan *Marcin Biedermann z Poznania* ofiarował Spółce „Dziennika Polskiego“ w Dortmundzie półczwarta tysiąca egzemplarzy „Wyboru Pism Maryi Konopnickiej“ w celu rozdania ich pomiędzy czytelników i towarzystwa, które się po te dzieła zgłoszą.

— **Dola redaktora polskiego.** Redaktor „Lecha“ p. Teska, który po odsłużeniu 8 tygodniowych ćwiczeń wojskowych objął świeżo znowu kierownictwo redakcyi „Lecha“, musi w najbliższych dniach powędrować do więzienia na 4 tygodnie. Ot, dola redaktora polskiego!

— **Handel ziemią.** Znany działacz pan dr. Karasiewicz z Tucholi donosi „Dziennikowi Poznańskiemu“, że Melanowo w powiecie chojnickim w Prusach Zachodnich jest w niebezpieczeństwie. Właścicielem pięknej tej wsi jest p. Wolszlegier z Cołdanek, członek znanej i zamożnej rodziny. — „Gazeta Polska“ w Kościanie podaje następującą wiadomość: „Miasto nasze zaalarmowała naraz wiadomość straszna, że p. Niklas, właściciel Donatowa, folwarku liczącego przeszło 400 mórg ziemi w dobrej kulturze, prawie bez długu, układa się o kupno — z komisyą kolonizacyjną, i że wkrótce ma nastąpić podpisanie kontraktu i przewłaszczenie“.

— **Zmiany posiadłości.** *Wieś rycerską Włókno*, mające 570 ha (2000 mórg) sprzedał dotychczasowy właściciel, p. Jan Dobrzycki p. Pągowskiemu; oba folwarki zaś, Borowice Młyny, razem 146 ha (550 mórg) p. Gabryelowi Ritterowi z Poznania. — *Pan Papież z Bydgoszczy* nabył od firmy Anker i Behrendt z Gdańska dobra Toborowizno pod Lubawą około 830 mórg ziemi i łąk z całym inwentarzem i pełnem żniwem za 200 tysięcy marek, oraz sąsiednią posiadłość Kwaśny Młyn 230 mórg za 20 tysięcy marek. — *Majątek Mechlinko* w powiecie puckim przy Kępie Oksywskiej w Prusach Zachodnich, nabył z kompletnym żywym i martwym inwentarzem od dotychczasowego właściciela p. Ernesta Adama w Gdańsku dr. prawa p. Górski, właściciel dóbr rycerskich. Pan dr. Górski mieszkał dawniej w Szprudawie pod Pelplinem.

— **Do Ameryki** wyjeżdżają lantrat katowicki Gerlach i radzca Mädler z Bytomia. Podobno razem z innymi urzędnikami wyjeżdżają dnia 22 bm. z portu bremeńskiego. Podróż po Ameryce ma trwać blisko dwa miesiące. Tak donosi „Katolik“. Kto wie, czy znany p. Mädler, pracujący w wydziale policyi politycznej, nie będzie tam śledził ruchu związków polskich i znanej armii polskiej. Jednocześnie gazety niemieckie donoszą, że do Ameryki wybiera się z polecenia rządu osobna komisya, aby się przypatrzeć, jak się tam kolonizacya odbywa. Udział w tej podróży wezmą wyższy radzca rejencyjny Gansen, radzca Both i administrator Klaassen z Janówca — z ramienia komisyi kolonizacyjnej. Do nich przyłączą się tajny radzca rejencyjny dr. Hagenberg z ministerstwa skarbu i kilku landratów i radzców rejencyjnych. Panowie ci zabawią podobno 3 miesiące w Ameryce.

— **Znowu bojkot.** Pan Andrzej Łajp, mistrz piekarski i właściciel domu na Chwaliszewie, który długie lata dostarczał pieczywa dla kantyny wojskowej, otrzymał, jak czytamy w „Postępie“, od swego odbiorcy Niemca list, który w polskiem tłomaczeniu brzmi:

„Szanowny Panie! Bardzo mi przykro, że jestem zniewolony Panu donieść, iż od dzisiaj począwszy, nie mogę brać od Pana żadnego pieczywa. Za Pańskie rzetelne i dobre dostawianie towaru wypowiadam Panu moje najserdeczniejsze podziękowa-

nie, nadmieniając, iż było mojem życzeniem, aby długie lata jeszcze z Panem pracować, lecz niestety miało się stać inaczej. Załączając najserdeczniejsze pozdrowienie, pozostaję Panu wdzięcznym

W. D."

Z listu powyższego wynika, że zarządzca kantyny dostał nakaz z góry, aby nie brał nadal towaru od Polaka. Niech żyje — — „kultura i wolność" niemiecka!

— **Pułkownik Kęszycki**, komendant pułku huzarów nr. 3. podał się nagle do dymisyi. Sprzedał on, jak wiadomo, dobra swoje W. Łysiny Polakowi. Gazety niemieckie rozumują przeto, że dymisya jest właśnie skutkiem tego sprzeniewierzenia się sprawie niemieckiej i słów cesarza, który w Gnieźnie powiedział, że grzeszy wobec ojczyzny, kto ziemię Polakowi sprzedaje.

Nasi sprzedawczycy, którzy zajmują wybitne stanowiska w polskich instytucyach, powinni także pójść gdzie pieprz rośnie.

— **Germanizacya to protestantyzacya.** Potwierdza to znowu głośny ewangelicki związek Gustawa Adolfa. Wysłał on do cesarza telegram, w którym pod wrażeniem mowy gnieźnieńskiej zapewnia, że będzie z szczególną troskliwością o protestantów na wschodzie się starał. — Czy to nie jasne?

— **Hr. Zygmunt Raczyński**, właściciel majoratu obrzyckiego, obejmującego 45000 mórg, wystąpił z całą rodziną z kościoła katolickiego i przyjęty został w poczet członków ewangielickiej gminy w Obrzycku. — Taką wiadomość podają gazety niemieckie. Nam się zdaje, że „graf Raczyński" od dawna już się znajduje na łonie kościoła ewangielickiego.

— **Kultura niemiecka!** „Kattowitzer Ztg.", a za nią „Breslauer Ztg.", nawołują Niemców, aby nie jeździli do Wieliczki zwiedzać kopalnie tamtejsze, bo w nich „niewiele jest do widzenia", a każda kopalnia węgli pruskich jest znacznie więcej interesująca!!!

— **Ks. dr. Stephan**, redaktor centrowej „Gazety katolickiej", przesiedlony został, jak donoszą gazety niemieckie, z Berlina jako administrator do Kunzendorfu w powiecie prudnickim, w zakątku dyecezyi wrocławskiej. Widocznie księża centrowi stracili już wiarę w jego zdolności i powodzenie.

— **Strzałkowo.** U nas w Strzałkowie i okolicy niektóre panie obywatelki bardzo chętnie pejsatych popierają. Nazwiska ich później doniosę.

Czytelnik „Pracy".

— **Inowrocław.** Gościnny p. Roman Pawłowski z Jaksic kupił od Niemca Edw. Brocka w Sławsku p. Kruszwicą gościniec, mleczarnią, piekarnią i rzezalnią za 39,500 m.

— **Miąża** p. Damasławkiem. Pan Andrzej Dereżyński z Międzylisia sprzedał gospodarstwo swoje, obejmujące 66 mórg wraz z wiatrakiem za 30,000 marek. Nabywcą jest p. Kaźmierczak z pod Gniezna. — Pan Józef Rozpłochowski z Miąży sprzedał gospodarstwo swoje, obejmujące 75 mórg, za 27,000 marek p. Lewandowskiemu z Chełmc p. Kruszwicą.

— **Wieleń.** Ks. proboszcz Kirscht nadesłał „Wielkopolaninowi" sprostowanie, które i my zamieszczamy, ponieważ także pisaliśmy o tem, co ks. proboszcz Kirscht prostuje:

Nie uważam za stosowne zajmować się osobistemi zapatrywaniami i wrażeniami autora artykułu, tylko odnośnie do jego twierdzeń oświadczam:

1) Przyjmowałem razem do Komunii św. polskie i niemieckie dzieci, bo taki był tu zwyczaj.

2) Nieprawdą jest, że miałem zamiar wśród śpiewu pieśni niemieckiej wprowadzić dzieci do kościoła i że odstąpiłem od tego zamiaru z względu na oburzenie polskich rodziców. Przeciwnie śpiewano tak, jak poprzednio nakazałem, to jest polskie dzieci, aby nie iść do kościoła bez śpiewu, śpiewały tę samą pieśń po niemiecku. O jakiemś oburzeniu rodziców polskich w dniu Komunii św. nic nie wiedziałem, nie mogło więc ono na mnie mieć wpływu.

3) Dzień, w którym w czasie procesyi miano po nieszporach śpiewać po niemiecku, był odpustem. W dniu tym śpiewano już poprzednio na procesyi, na sumie i przed nieszporami.

A. Kirscht, proboszcz.

— **Z Leszna** piszą do „Gazety Kościańskiej": „Pewien kupiec tutejszy (jedyny z odnośnej branży Polak) musi od października zmienić lokal. Wynajął lokal u pewnego innego kupca-Niemca, lecz nie wiadomo, pod jakimi wpływami pan ów kontrakt cofnął. Kupiec ów Polak wynajmuje drugi lokal, lecz i tu (jak się zdaje wskutek nacisku hakatyzmu, albo żydów — konkurentów) kontrakt odwołują!

Ów Polak kupiec musiał się udać na drogę sądową, wytoczył więc skargę i polecenie do wykonania skargi oddał adwokatowi żydowi! Nie przeszkadza to bynajmniej temu panu przy każdej sposobności zetknięcia się z rodakami napominać ich, aby kupowali u swoich!

Tak oto wygląda tolerancya niemiecko-żydowska wobec Polaków z jednej, a solidarność polska z drugiej strony!"

Ruch w Towarzystwach.

— **W Starem Puszczykowie** pod Mosiną odbył się w ostatnim czasie wiec, na którym założono filią Polskiego Związku Zawodowego.

Nekrologia.

Ś. p. *ks. proboszcz Paulin Wojciechowski*, lic. św. teol., umarł dnia 16-go b. m. w Krotoszynie. Zmarły duszpasterz pracował przez blizko 25 lat gorliwie, z początku jako wikaryusz, potem od śmierci ś. p. ks. kanonika Kegla jako proboszcz dla parafii Krotoszyńskiej, zaskarbiwszy sobie ogólny szacunek, miłość i wdzięczność parafian. Nieboszczyk brał także czynny udział na polu naszych spraw społeczno-ekonomicznych i należał między innemi do założycieli Banku Krotoszyńskiego. Był przez blizko 20 lat członkiem Zarządu Banku, później aż do śmierci członkiem Rady nadzorczej, położywszy gorliwą, sumienną i bezinteresowną pracą niemałe zasługi wobec tej instytucyi. R. i. p.

† Śp. *Stanisław Krajewicz*, dnia 13-go bm. w Śremie, przeżywszy 71 lat.

† Śp. *Ignacy Wichliński*, dnia 15-go bm. w Inowrocławiu. Pogrzeb odbył się w Tucznie dnia 18-go bm.

† Śp. *Bernard Zwickert*, emeryt nauczyciel, ojciec ks. Jana Zwickerta, proboszcza rydzyńskiego, dnia 16-go bm. w Rydzynie, przeżywszy lat 71.

† Śp. *Władysław Sikorski*, były właściciel Mielżyna, dnia 16-go bm. w Więckowicach. Pogrzeb odbył się w Niepruszewie, dnia 19-go bm.

† Śp. *Ludwik Nehring*, dnia 16-go bm. w Czarnkowie w 83-cim roku życia.

† Śp. *Apolonia z Zachlerów Głowińska*, matka ks. Kazimierza Głowińskiego z Rzegocina, dnia 15-go bm. na plebanii w Rzegocinie. Pogrzeb odbył się w Obornikach dnia 18-go bm.

† Śp. *Józef Gaworski*, kupiec podróżujący, dnia 16-go bm. w Poznaniu w 58-mym roku życia.

† Śp. *Florentyn Chełmicki*, dawniejszy dziedzic Bzowa, dnia 17-go bm. w Inowrocławiu, w 78-mym roku życia. Pogrzeb odbył się w Żydowie, dnia 21-go bm.

† Śp. *Władysław Owczyński*, dnia 16-go bm. w Poznaniu, w 19-tym roku życia.

† Śp. *Franciszek Raciniewski*, dnia 13-go bm. w Gnieźnie.

† Śp. *Franciszek Dzierzgowski*, członek Towarzystwa śpiewu w Pakości, dnia 14-go bm. w Pakości.

Od Redakcyi.

— *Panu B. Ł. w B.* — Pierwszy adres wskaże Kantor ogłoszeń „Réclame" w Poznaniu, ulica Rycerska nr. 38. — Co do Prus Zachodnich wskaże adres p. F. Nagórski (Bank ludowy) w Pr. Starogardzie.

— *Panu G. w Fr.* — Racya, ale dział ogłoszeń nic redakcyą nie obchodzi, choćby anons nawet dotyczył „służącego bez wąsów".

— *Panu Piotrowi J. w Oleśnicy.* — Takie pieniądze nawet podczas wojny przepaść nie mogą.

— *Ciekawej z M.* — Panna nie dała w tej sprawie powodu złego wychowania, może była tylko zarozumiałą, w każdym razie nie ubliżyła mężczyźnie, jeżeli podaniem ręki go powitała i pożegnała, nie pozwoliwszy się w rękę pocałować.

— *Panu W. Sz. w miejscu.* — Poświęciliśmy wiele czasu, by z artykułu Pańskiego wyeliminować wszystkie w pojęciu prawa „karygodne" zwroty. Ostatecznie jednakowoż mogliśmy przebrnąć. Łatwiej artykuł napisać, niż wziąć zań odpowiedzialność przed prokuratoryą. Obraza urzędników — to bardzo niebezpieczny teren. Artykuł w zmienionej formie zamieszczamy, a wypuszczony ustęp pozwoliliśmy sobie wręczyć sekcyi prawnej „Straży". Czy zgoda? Pozdrawiamy.

— *Do Borówca.* — Zechce Sz. Pan na decyzyę czekać aż do powrotu (za 2 tygodnie) red. p. Wierzbińskiego. Obecnie mamy nawał materyału aktualnego.

— *Pani I. K. w Gnieźnie.* — Nie mamy czasu na napisanie korespondencyi z Pańskich notatek.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, tytunie i t. d.

Buk.

Miecz. Szczodrowski, drogerya.

Bydgoszcz.

Rynek Wełniany Nr. 2. JAN GŁOWIŃSKI. Skład sukna, wykonywanie podług miary, gwarancya dobrego leżenia. Konfekcya męzka i dla chłopców.

Gostyń.

Z. Janaszewski. Warsztat wyrobów ślusarskich. — Skład kół i maszyn do szycia.

—

Zakład ślusarski **B. Urbanowicza** wykonuje drzwi żelazne, ogrodzenia parków, kraty grobowe i krzyże. Okuwa drzwi, okna i bramy i t. d.

Jarocin.

Drogerya pod Kotwicą" **W. Chylewski,** poleca towary drog., apteczne, kolon. spec.: farby, pokosty, lakiery, mydła i perfumy w wielkim wyborze.

Kępno.

L. Małuszek w rynku. Skład bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, firan, dywanów, konfekcyi damskiej i męzkiej i sukna.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki. **Edmund Karłowski.**

Koźmin.

Centralna Drogerya **K. Suwaliński** Towary drogeryjne i kolon., farby, lakiery, perfumy i td.

—

Maryan Kołaski Skład sukna, materyałów na suknie, jedwabii, płócien, stołowizny, bielizny. firan, kobierców, kapeluszy, towarów modnych, białych i krótkich.

Kobylin.

J. Gajowczyk. Pracownia garderoby męzkiej podług miary, oraz jedyny polski skład sukna, bielizny, kapeluszy. Wielki wybór ubiorów gotowych dla dzieci i dorosłych. — Ceny najtańsze.

Kostrzyn.

Michał Woźny poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bielizne, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Miejska Górka.

A. Wybieralski. Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Mosina.

Stanisław Michałowski Zakład malarski artystyczno-dekoracyjny. Wykonuje wszelkie restauracye jako też nowe budowy, kościoły, sceny teatralne itp. Specyalność: pejsaże. Kosztorysy i szkice bezpłatnie.

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

—

J. Obecny, przy starej aptece. Skład bławatów, bielizny i konfekcyi damskiej.

—

Drogerya pod złotym jeleniem F. Anczykowski dawn. T. Mazur, rynek 21, telefon 67, poleca farby, lakiery, pędzle, karbolineum, smarowidło na osie, oliwy do machin itd. Hurt. i detalicznie.

Rawicz.

Poznański Dom towarowy **Adama Ratajewskiego** poleca bławaty, płótna, bieliznę, konfekcyą itd. Ceny tanie, lecz stałe.

—

J. Mroczkowski. Skład tow. kolonialnych, delikatesów herbaty, araków, wódek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Śmigiel.

J. Abt jr. Handel żelaza i wszelkich artykułów budowlanych.

—

M. Stachowiak. Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

J. Karpiński. Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

A. Zwierzchowski, pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy **W. Ziarniaka** poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary. Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Września.

Centralna Drogerya H. Bąkowska naprz. poczty poleca wszelkie artykuły **gospodarcze i domowe. Farby, lakiery, pokosty. Artykuły fotograficzne.**

Wolsztyn.

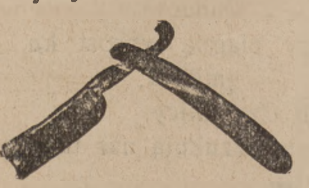
Drogerya pod gwiazdą I. Kowalski. Skład towarów drogeryjnych, smarowideł, farb, lakierów i pędzli.

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss. Pracownia pojazdów i lakiernia. gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabrykacya ogrodzeń, nadgrobków z żelaza kutego.

Wolne miejsce do ogłoszeń.

Brzytwy! Brzytwy!



Brzytwy 348

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futerał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f. **Pędzelek** 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen. **Paski** do ostrzenia po 0,80, 1,00. 1,50 i 2,00 mk. **Nożyczki** kute stalowe po 40. 50, 60 i 90 fen. **Noże** kieszonkowe tylko mocne po 20. 25, 30 fen. **Noże** kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50, 60 fen. Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam **darmo i franko.**

M. Danecki, Miejska Górka (Görchen in Pos.)

Makulaturę ma tanio do oddania Drukarnia „Pracy."

290

Suknie, bluzki

mają wygląd równo strojny aż do znoszenia, jeżeli są zrobione **z prawdziwie dobrych materyałów,** jakie poleca po ściśle rzetelnych cenach polski specyalny magazyn bławatów

Noskowicz & Co. Pleschen-Posen.

Próby na życzenie!

Noveol. (Przez ces. urząd pat. nazn. ochron. D. R. W. Z. 60098). Najnowszy i najskuteczniejszy środek wzmacniający u osób słabowitych płuca, dodający im wielkiej ulgi podczas astmy, ożywiający całe usposobienie i pobudzając apetyt. Dzieci zaś słabowite i skrufuliczne przybierają w oczach na ciele i pozbywają się szybko wszelkich wyrzutów skórnych i tej tak zwanej angielskiej choroby. Comp: Calc. phosph. ct. hypophos 1, Ferr. lact. 0,25, Gi. mimos. 10, Agar. 1.01, Jecor 190 H_2O 140, Glyc. 40,01 Nerol. 0,01,01 Ros. 0,01. But. 2,00, przy 5 butelkach franko i pudło gratis. Główny depot posiada: 755 **H. Smyczyński,** apteka **w Chełmnie** (Ratsapoth.)

Młodszego pomocnika (drogerzystę) z dobremi poleceniami poszukuje się zaraz lub 1. X. b. r. do handlu towar. kolonial. drogeryjn. farb i wyszynku wódek. Zgłoszenia z podaniem pensyi przyjmie Eksp. „Pracy" pod nr. **404.** 404



UCZNIA

przyjmie od zaraz **I. Gregorowicz** handel żelaza i artykułów budowlanych 400 **KRUŚWICA.**

Ucznia

z odpowiednem wykształceniem przyjmie natychmiast do handlu kolonialnego, delikatesów i artykułów drogeryjnych 406 **M. Jankowski,** Oborniki.

W mieście powiatowem Prus Zachodnich jest do sprzedania bardzo dobrze prosperująca

wielka piekarnia

z najnowszem urządzeniem i maszynami. Rocznego obrotu około 120 000 marek. Jest to najlepszy interes w mieście i bardzo pewna egzystencya dla Polaka. Zaliczki potrzeba najmniej 20,000 mk. 411

Oferty uprasza się do Ekspedycyi „Pracy" pod lit. **A. R. 411.**

L. Kaniewski

w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2 poleca swą od roku 1846 istniejącą

FABRYKĘ TABAKI.

Zwraca mianowicie uwagę *na tabaki ruskie, holenderkę, prawdziwy Nessing.* poleca także swój znany

skład cygar

i tylko odleżałych **Papierosów i tytuni** w najrozmaitszych gatunkach. 46

NOWOŚĆ: Tabaka zdrowia przeciw katarowi. NOWOŚĆ: Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

Humorystyka.

Z teki Zoila.

O kobietach mówią: że są w miłości *bierne*... prawdopodobnie dlatego, że chętnie wszystko biorą, co im się daje.

* * *

Nie tylko *kardynał* popełnić może błąd *kardynalny*.

* * *

Najbardziej przez śpiewaków lubianą jarzyną jest: fa — so — la.

* * *

Wszystkie kaczki można utuczyć, tylko dziennikarska jest nienasycona.

* * *

Pewnego naczelnika gminy dlatego tylko tytułują: *burmistrzem*, ponieważ jest mistrzem w dawaniu *bur* magistrackim funkcjonarjuszom.

* * *

Czytałem w pewnym romansie taki ustęp:
„Dowódca Murzynów pobladł z trwogi".
Ciężko możliwe!

* * *

Ciele — nazywają najniesłuszniej stworzeniem bezrozumnem. Ciele potrafi myśleć i marzyć, bo mówimy: *myśli-ciele* i *marzy-ciele*. Ono i wierzyć umie, bo powtarzamy: *wierzy-ciele* (ten gatunek jest najmniej sympatyczny).

Wśród zwierząt cielęca głowa
Rozumu musi mieć wiele,
Bo często słyszymy słowa:
Zdrów na umyśle, jak *ciele!*

Z naszych badów.

Niejedną piękną, młodą dziewicę
Chęć bierze — poznać naszą Krynicę.
Niejedna także młoda dziewczyna,
Pojechać radaby do Morsztyna.
Tak — ach niejedna by jechać rada,
Cóż, kiedy wszędzie jest jedna wada,
Która każdego prawie odstraszy:
Pełno tam wszędzie jest „wiary naszy".

Owoce pracy.

— Świat jest niewdzięczny. Jakże rzadko stawiają lekarzom pomniki!

To prawda, ale owocom ich pracy stawiają ich mnóstwo. Wszystkie cmentarze są ich pełne.

Z albumu pensyonarki.

Madame jest jak Noe,
Pensja niby arka,
A biały gołąbek
Każda pensyonarka.
Szczęśliwaś ty Zosiu,
Fruniesz na wieś sobie,
Przywieź mi mazurek
W koralowym dzióbie.

Twoja do grobu Władzia

* * *

Ciężki jest niemiecki,
Algebra straszliwa,
Więc cię nie zapomnę,
Póki będę żywa.

Najżyczliwsza koleżanka Michasia.

* * *

Zosiu! Dostałaś czwórkę z plusem za rysunki! O! pomnij kiedy wstąpisz na zawrotne wyżyny sztuki i cały świat podbijesz pędzelkiem, o, pomnij wówczas, Zosiu, że w okolicy Pacanowa masz przyjaciółkę serdeczną, która nigdy a nigdy nie poskąpi ci uznania, miłości i konfitur. Twoja, twoja, twoja!

Basia.

* * *

Kiedy raz byłam ach! głodna,
Dałaś mi Zosiu serdelek.
Ten czyn szlachetny uwiecznię,
W najpierwszej z moich nowelek.

Filipcia.

* * *

Czy się zakocham — nie wiem; czy wyjdę za mąż — nie mam pojęcia; czy będę kiedy wdową — nie wyobrażam sobie; ale pamięć o tobie, kochana Zosiu, nie wygaśnie nigdy w moich pamiętnikach i w sercu, w którem obraz twój zamknęłam niby w hermetycznym piecyku..,

Bądź zdrowa. Twoja Stasia.

Co to jest miłość.

Miłość jest światłem życia; dlatego się [ją tylko w ciemności zapala.
Miłość jest potęgą; dlatego tyle małżeństw kruszy.
Miłość jest ciężarem; dlatego ją dwoje [ludzi dźwiga.
Miłość jest blaskiem; dlatego tylu ludzi [oślepia.

Primo impetu.

— Proszę pani, kucharka spadła ze schodów i stłukła sobie kolano.

— Znowu stłukła! Nieporadna godzina z tym tłukiem! Wczoraj stłukła wazę, przedwczoraj półmisek, ja... nic, przebaczyłam. Teraz znowu tłucze! Dalibóg, że jej dziś już tego nie daruję i z zasług odciągnę.

Słowa a czyny.

„Kocham" — rzekł facet do młodej dziew- [czyny,
I zabrał z sobą wszystkie jej manatki.
„Jam jest bez grzechu, bez najmniejszej [winy"
Rzekłszy nasz bankier — poszedł do [mężatki.
Kupiec powiada: „W niedzielę zam- [knięto", —
Ale od tyłu ma jeszcze wchód drugi.
„Towar krajowy", — no rozumie się to;
O tem najlepiej powiedzą nam sługi.
„Przestanę pić już" — powiada pan [domu,
I na to konto urznął się jak bela.
„Dziś świeże kiszki" — nie radzę nikomu;
I wiem, nie jeden zdanie to podziela.
„Jutro pogoda" — czytasz gdzieś w kro- [nice,
Tymczasem chmury ciągną wprost ku [miastu.
Z tego wynika mili Czytelnicy,
Że wszyscy wszędzie oszukują nas tu.

W sądzie.

Sędzia: Niech oskarżony nie przeczy dłużej. Mamy tu trzech świadków, który twierdzą z całą stanowczością, że cię o tej porze tam widzieli.

Oskarżony: Dalibóg, już dłużej nie wytrzymam panie sędzio! Jaka to sprawiedliwość! Cóż znaczy trzech świadków wobec tylu tysięcy mieszkańców Poznania, którzy mnie wcale nie widzieli.

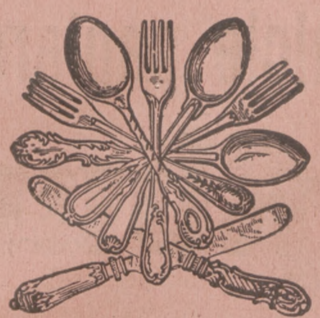
Kuzyn.

Panna Stasia odwiedziła swoją przyjaciółkę Józię, u której zastała pewnego przystojnego młodzieńca.

— Mój kuzyn Julek — rekomenduje go Józia.

— Znam go — odrzecze Stasia — przed miesiącem był moim kuzynem.

Telefon 1312. Telefon 1312.



J. STARK
Poznań, ul. Wilhelmowska 21
poleca
Sztućce stołowe **Christofla i Comp. w Paryżu,** w gładkich i stylowych fasonach, najdoskonalsze galwaniczne posrebrzenie po cenach fabrycznych.

12 łyżek stołowych	mk. 26,40	12 łyżeczek do kawy	mk. 13,60
12 widelcy	„ 26,40	1 łyżka półmiskowa	„ 6,40
12 noży	„ 28,80	1 widelec	„ 9,20

1 łyżka wazowa złocona mk. 11,20.

Pojedyńcze sztuki sprzedaje po cenie tuzinowej. Oprócz tego zwraca uwagę na wielki wybór innych pięknych i praktycznych sprzętów jak: **jardiniery, tace, talerze do ciast, serwisy do kawy i herbaty, zastawy do owoców, kandelabry, lichtarze itp.** 212

Odnawia i posrebrza zużyte sztućce i sprzęty. — Przyjmuje stare srebro w zamian.


710

Najtańsze, najlepsze i najkorzystniejsze
muzyczne instrumenta
nabyć można u

Założono 1790. **W. Eibicha.** Założono 1790.

Stara polska firma w Poznaniu.

I skład: ul. Wrocławska 60, narożnik Starego Rynku
II skład: ul. Dolna Wałowa 1.

Amerykańska gitarowa cytra zaraz bez nauki do grania z nutami, wszelkiemi polskiemi piosenkami i tańcami za 8,50 marek. Lepsze 10 mk., 15 mk. i 20 mk.

Bóg z nami! Bóg z nami!

Wielka - Warszawska - Koncertowa - Harmonika.

Harmonika Warszawska wyszła w tych dniaeh 33 cm. wysoka, 55 cm. długa, 17 cm. szeroka, miech z dwiema mocnemi balkami opatrzony, z niklowej blachy okute narożniki, sprężynki stalowe, organowy głos, 2 klucze, **tylko 4 marki,** 3 klucze 5 mk. 4 klucze 6 mk. — **Krakowska harmonika:** 5 lat gwar., cała z baleczek budowana, które są całkiem niklową blachą okute, dubeltowe dno, tak iż klawiatura nie może nigdy się ściągnąć, 2 klucze 48 głosów tylko **7 mk.** 3 klucze, 70 głosów 8 mk. 4 klucze, 90 głosów tylko 10 mk. **Harmonika** 6 kluczy prawdziwych do wyciągania, 136 głosów, tylko 15 mk. — **Skrzypce** dla każdego gracza, imponujące, wartość 10 mk., tylko 6 mk. z smyczkiem. **Skrzypce** lepszego gatunku z pudełkiem i smyczkiem tylko 10 mk. **Skrzypce** dla preperandów z pudełkiem i smyczkiem tylko 12 mk. **D. Klarnety** czarne z 5 klapami na wałkach mosiężne tylko 6 mk. **A. B. C. D.** i **Es. klarnety** z 6, 7, 8, 10, 12 klapami od 10 do 30 mk. i t. d. **Fletowersy, trąbki, bębenki** dla szkół, muzyki orkiestrowej i straży ogniowej. **Cello i kontrabasy** w różnych gatunkach. Do **akordowej i gitarowej cytry polskie nuty:** „Boże coś Polskę", „Z dymem pożarów" i wszelkie inne istniejące.

Zamówienia odsyła się pod największą zadowalniającą usługą przez pocztę. **Polskie i niemieckie cenniki** na żądanie gratis i franko.

Aby uniknąć zwłoki w przesyłkach proszę adresować wyraźnie jak następuje: **W. Eibich, Posen, Breslauerstr. 60,** oraz proszę swój adres własny dokładnie podać.

Polecam niniejszem mój

A. Cybulski,
księgarnia w Poznaniu
poleca:

Alkohol a miłość 0,25 m.
Bakterye i ich znaczenie 0,25 „
Choroby dziecięce 0,25 „
Czem zastąpić napoje alkoholiczne? 0,50 „
Dokąd się udać na wypoczynek letni? 0,25 „
Jak młodzież uświadamiać o życiu płciowem? 0,25 „
Jarska kuchnia. Przepisy smacznych a zdrowych potraw roślinnych, 2,25 „
Ilustrowany mały kucharz jarski 1,00 „
Jarstwo podstawą zdrowia, szczęścia i życia 0,20 „
Nerwowość oraz choroby przewlekłe zwłaszcza u kobiet w małżeństwie, ich przyczyny i zapobieganie 0,25 „
Onanizm. Samogwałt. Objawy, przyczyny, następstwa, zapobieganie, leczenie. 1,00 „
Opieka nad dzieckiem przed urodzeniem i nad nowonarodzonem z ryc. 0,50 „
Pijacze choroby i ich leczenie, z 17. ryc. 0,50 „
Przestrogi i rady zdrowotne dla dorosłej młodzieży 0,25 „
Robaki w ciele ludzkiem, ich powstawanie i usuwanie, z 24 ryc. 0,55 „
Samopomoc w cierpieniach i chorobach płciowych z ryc. 1,75 „
Sposoby i przepisy lecznictwa przyrodnego. 48 r. 0,30 „
Szybkie usuwanie różnych cierpień (ból głowy, migrena, krztusiec, bicie serca) z ryc. 0,50 „
Talizman zdrowia i piękności z rycinami 0,75 „
Umiarkowanie, tegoż znaczenie dla życia i zdrowia 0,25 „
Zakon małżeństwa, czyli rozbiór obowiązków małżeńskich. Katechizm Zdrowotny dla małżonków 0,90 „
Z kim się żenić, kogo brać za męża? 0,50 „
Zboczenia życia płciowego 1,00 „
Życie płciowe i jego znaczenie z ryc. 2,00 „

Koszta przesyłki wynoszą **10 fen.** od każdej marki. Ceny dla Galicyi: Każde **10 fen = 12 hal.** 119

Aptekarza 248
Z. Rittera
HELOS BALSAM
radykal. środek **przeciw nagniotkom** wypróbowany od lat 20 usuwa nagniotki i stwardłą skórę. Flaszka **50** f.

Poznań, św. Marcin 20,
filia Berlińska 14.

Złoty krzyż i medal: Hamburg. Paryż. Wiedeń. 1904.

„Italia"
Fabryka makaronów i opłatków
Poznań,
Tama Garbarska 25-28
poleca swoje wyroby po stałych cenach przy skorej i rzetelnej usłudze tylko hurtownie. (57

Hurtownie! Detalicznie!

Farby,
Pokosty, lakiery,
froter, masę woskową

do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 650

szczotki i pędzle

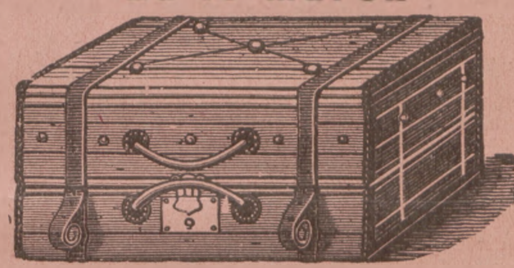
do tychże

Carbolineum

koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek 8.
Telefon nr. 238.

Za 10 marek



kuferek z 2 fałdami

Wielkość:	48 cm.	54	60	65
Cena:	10,— mk.,	12,—,	14,—,	16,—

Lepsze z narożnikami i bardzo dobrym zamkiem, 2 kieszeniami w środku

48	54	60	65 cm.
14,—	16,—	18,—	20,— mk.

tylko własny wyrób poleca **fabryka kufrów i torb**
N. Wolniewicz, siodlarz
Poznań—Bazar. 98

Poznań, Ryeerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych
na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki, etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym.** — **Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** 19 **Kąpiele elekryczne świetlane.** Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Patenty
na **wynalazki** wyjednywa
Kazimierz Ossowski
Biuro patentowe:
PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3.
BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

A. PFITZNER
hurtowny handel win
Mád pod Tokajem — Poznań. 79
Zał. w r. 1849.

Specyalność:
Wina górno-węgierskie czyste wytrawne i słodkie w rozmaitych gatunkach i odcieniach od Mk. 1,50 za litr. **Konjaki krajowe** w beczkach i sądkach od 1,25—2,50.
NB. Na żądanie cenniki i próby.

Największy interes obstalunkowy na **Ciasta, Torty i Lody.**
Poleca na **sezon wiosenny**
Napój mojowy butelkę 3/4 incl. szkła 75 f.
na świerzy marzance.
Spodki z kruchego ciasta do owoców, — tuzin 50 fen.

Palcie papierosy
Abur
pierwszorzędny wyrób.

Specyalność:
Nasze i Edwardos.
887

Pługi parowe
budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od **28,000 marek.**
Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek
budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach 397
John Fowler & Co., Magdeburg.

Kto zamierza **założyć** lub **kupić**
skład kolonialny
ten niech się z całem zaufaniem uda do firmy hurtownej: 213
Artur Gustowski
w Opalenicy.
Całkowite urządzenie składu kolonialnego z wszelkiemi krupami jest od 400 Mk. do najdroższych. **Ceny bez konkurencyi.**
Także wskażę reflektantom bezpłatnie korzystne interesa — które są do nabycia.

Książki dla każdego pożyteczne, co dopiero wydane przez Red. „Przew. Zdrowia" **Czarnowski. Weissenburgerstr. 27.**
Zielnik lekarski z 125 kolorowemi obrazkami, z przesyłką 5,20 M.
Życie płciowe ze stanowiska zdrowotno-społecz., 2,20 M.
Zboczenia płciowe w świetle wiedzy postępowej, 1,10 M.
Zwalczanie nerwowości przyrodnym sposobem życia, 1,25 M.
Samopomoc w chor. i cierpieniach płciowych, 1,85 M. 672

En gros. En detail.
Drogerya
Zacheusza Rittera
Poznań. 83
św. Marcin 20 i filia Berlińska 14
Telefon nr. 1936
poleca
wody mineralne
świeżego nalewu,
Sole i Ługi do kąpieli,
oliwy do machin, smarowidło na osie, carbolineum, sól bydlęcą i kuchenną, farby, pokosty. lakiery, i t. d.
po najniższych cenach hurtownych.

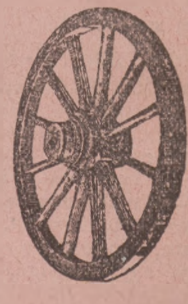
Fortepiany
i
harmonia
najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dzwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio jedyny **polski** magazyn
A. Drygas,
Poznań,
Rycerska 33.
Katalog illustrowany na życzenie franko. 298

Pismo jak „Praca" winno znajdować się w każdym domu szczerze polskim.

Lekarz-dentysta
S. Lewandowski,
Bydgoszcz
ul. Dworcowa 97. 28

Matjasy
szkodzkie śledzie
śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę
we wszelkich gatunkach,
czystą amer. mięszaną salonową naftę z dostawą na bieżące i późniejsze term.
Smołę i papę na dachy oraz carbolineum
poleca
po tanich cenach hurtownych
Maciejewski & Co.
Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty
Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 97
Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

Rzetelnie i pod gwarancyą
dostawia wozy i koła wszelkiego rodzaju każdego czasu 150



J. Staszak
kołodziej,
Poznań,
Bukerstr. 17,
(Posen).

„Praca" Drukarnia Nakładowa Sp. z o. p.
poleca się do wykonywania wszelkich w zakres **drukarstwa** wchodzących robót szybko, gustownie i po możliwie najtańszych cenach. **POZNAN, ulica Rycerska nr. 38.**

Właściciele i Wydawcy: „Praca" Drukarnia Nakładowa Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Drukiem „Pracy" Drukarni nakładowej w Poznaniu.